

PISMO DLA RODZIN.

№ 31. Warszawa, dnia 24 Lipca (5 Sierpnia) 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie	rs. 6 k. „	rocznie . . .	rs. 8
półrocznie . .	„ 3 „ „	półrocznie .	„ 4 k. „
kwartalnie . .	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie .	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. **72** NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12, w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

PRZYCZYNY ZŁEGO.

V.

Lepsi i gorsi.

Nic tak mocno nie zakorzenia się w umysłach jak bezsens, nic się tak nieutrwala jak przesąd. Postawiwszy taki aforyzm wyniesiony z praktyki życia, gotów jestem stwierdzić go tysiącem dowodów, poczerpniętych z każdego niemal punktu w zakresie zjawisk naszego społeczeństwa. Niech sobie prawdy najoczywistsze, niech zasady będą najbardziej czcigodne, a zdrowy rozsądek najsprawiedliwszą miarą myśli i postępków — ich władza nad umysłem naszym i setnej części nie ważą tyle, co pierwszy lepszy dziwotwór wylęgły nie wiedzieć za czyją sprawą i w czyjem mózgowiu, jakby na żart z ludzkiego rozumu.

Rzeczywiste życie ludzkie i ustrój umysłów składa się z takich różnorodnych, niewiadomo do czego podobnych figielków, jakiemi starzy malarze i rysownicy zapełniali szlaki obrazów, z jakich gotyccy rzeźbiarze splatali dziwaczne ornamenta. Z labiryntu nieokreślonych istot, niedoszłych próbek stworzenia, splątanych gałązek potworków i figurek dzikich kształtów i symetrycznych wiązadeł — tworzy się całość, która u mistrzów średniowiecznych obejmuje sobą jakiś obraz, niby myśl wielką w otoczeniu codziennej pstrocizny żywota. Ale w nas darmoby szukać tej myśli klejonka, przypominających to i owo bezsensów, stanowi najczęściej wszystko.

Gruntowną znajomość ludzkiej natury, i szczególny dar obserwacyi mieć potrzeba, przy takim talencie jak Dickens np. aby malować człowieka w całej prawdzie, aby podchwycić te wszystkie cząstki składowe charakteru, które pokrywamy zwykle pozowaniem na istoty rozumne i logiczne. Nie trzeba jednak mistrzostwa na to, aby umieć wpatrzyć się w człowieka głęboko... aż do spokojnego rozpatrywania się w mozajce, niedających się wyrozumować składników jego wewnętrznej istoty, bez innego uczucia nad dobroduszną kontemplacyją tego, co się w potocznej mowie nazywa myślącem stworzeniem.

Ale zaczynamy odbiegać od przedmiotu ku któremu kierować się zamierzyliśmy, przeprowadzając empirycznie zdanie, wygłoszone na wstępie.

Pozwólmy ludziom mieć śmiesznostki niewinne, nieszkodliwe głupstewka i nielogiczne wszelkie drobiazgi, bez których życie byłoby monotonne, jak dramat bez komicznego żywiołu. Lecz sfera uprzedzeń, fałszywych pojęć, a co gorzej, postępków niekontrolowanych myślą, jest tak szeroka, iż przechodzi daleko po za granicę śmieszności niewinnej. Śmiech ściga ją tam wprawdzie, ale to już śmiech bolący, co płynie z oburzenia lub wzgardy.

Jedną z obszernych dziedzin ludzkiej... *niekonsenkwencyi* (mamy na to dosadniejszy wyraz polski) zajmuje stosunek w jakim stawiamy się do bliźnich naszych czyli pojęcia towarzyskie, pojęcia o tem kto *lepszym* a kto *gorszym* jest na bożym świecie, pojęcia o których właśnie pomówić dziś zamierzyliśmy.

Nie ma zapewne nikogo, ktoby się nie śmiał z dziwnych roszczeń niektórych osobistości i sfer towarzyskich do lepszości, roszczeń bezzasadnych równie jak śmiesznych bo każdy w drugich z łatwością spostrzega to czego w sobie dojrzeć nie zdolny. Nic dziwnego że parobek miejski panoszy się przed chłopkiem, a pisarczyk przed czeladnikiem, bo u nas, w pojęciach ogółu kodeks hierarchii towarzyskiej tak dobrze obowiązuje dziś jak przed trzystu laty, z tą tylko różnicą, że zasady praw onych zwietrzały już dawno, że do przestarzałych artykułów tych praw, przyrosły nowe bezmyślne przepisy, tymbardziej obowiązujące im bezsensowniejsze. Nie ma ściślej pełnionych obowiązków nad te, które próżność stwarza. Na tym punkcie jesteśmy nadzwyczaj drażliwi, więc urojoną swą wartość ważymy na arystokratycznej szalce, ze skrupulatnością bajeczną. Każdy posiada tysiące odcieni rozmaitego zachowania się względem ludzi, a to podług wagi jaką względem nich odczuwa. Jesteśmy *arystokratami* lub *demokratami* stosownie do potrzeby, w rozmaitym stopniu natężenia, a już chyba nie ma większego kłopotu jak znaleźć się w obec kogoś, którego nie wiemy „co zacz", choćby nawet na neutralnem terytoryjum.

W życiu towarzyskiem bez ustanku spoczywa na nas ciężar naszej *godności* i obowiązków, jakie ta godność na nasze barki wkłada. Jesteśmy ludzie postępowi, śmiejemy się z przesądów, oceniamy ludzi podług ich

wartości zaś nie położenia w hierarchii społecznej, aż tu na raz spotykamy dawno niewidzianego przyjaciela młodości, który został rzemieślnikiem. Idzie w odzieniu od pracy i podaje nam publicznie rękę narobioną, ze szczerą serdecznością. Rumieńce występują na twarz naszę, niewiemy co mówić, z radości zapewne, oglądamy się trwożliwie i uciekamy w pierwszą bramę... aby ukryć nasze szczęście.

Po chwili idzie przeciw nam niejaki hrabia Fredzio, lichy człeczyna z zaszarganą po same uszy opiniją, spojrzał na nas przez binokle i raczył poznać łaskawie, nie dość na tem, bierze nas pod rękę i kieruje do najbliższej cukierni. Jakże nas rozpromienia ta jego poufałość! ileż razy przez dzień powtarzamy to spotkanie, z lekceważącym uśmiechem, naturalnie; zapewne żadnego ze znajomych naszych nie zostawimy w nieświadomości tego co nam powiedział Fredzio!

To są przykrości i pociechy przywiązane do naszej godności, ale jakże mozolne są jej obowiązki, jak straszne kary czekają nas za każde ich zaniedbanie!

— Czy wiesz com widziała wczoraj w teatrze, mówiła dama jakaś do swej przyjaciółki. Własnym oczom niewierzyłam, hr. X. siedziała w krzesłach!

— Nie dziwi mię to moja droga, wszakże niedawno widziałam ją jadącą w dorożce, odrzekła interpelowana z uśmiechem politowania. Ci ludzie wychodzą już z naszego koła.

Rozmowa pań dystyngowanych potoczyła się na inny mniej *szokujący* przedmiot, a ja z bólem serca rozważałem jaka to straszna konieczność zmusiła ową hrabinę do pozbycia się własnego powozu, i jak okropne znurzenie spowodowało ją wsiąść do wehikułu przeznaczonego dla *mieszczaństwa*. Konieczności te niebyły zapewne słabsze od przyczyn, zmuszających panią referentową do wydawania takich samych wieczorków jak p. naczelnikowa, lub skłaniających biedną szwaczkę do morderczych oszczędności, dla sprawienia sobie takiej samej sukni, jaką nosi właścicielka magazynu.

Jest że ofiara, którejby człowiek nie poniósł dla utrzymania lub zdobycia *stanowiska* w towarzystwie. Różne sa środki dające stanowisko: urodzenie, pieniądz, manijery, suknia, to główne dźwignie, na które kładziemy szczególny nacisk dla podniesienia się do *godności.*

Ktoś, wyższość swą opiera na tem, że matka jego jest stryjeczną siostrą biskupa, inny udaje pana i kryje się ze swą pracą, ten powtarza frazesy francuzkie, śledzi troskliwie warunki elegancyi i małpuje sposoby obejścia tych, ku którym się wspina. Jakże tu ofiar poskąpić, jeżeli od nich zawisło zachowanie nasze u ludzi. Na bok potrzeby niezbędne, na bok zdrowy rozsądek! *Lepszym* okazać się to cel główny i jedyny.

Któż tedy faktycznie *lepszym* jest czyli co na jedno wynosi, jaką zasadę przyjęto w stopniowaniu *lepszości?*

Zasadą taką jest pańskość, to jest stopień możności życia bez pracy. Kto wiele pokoleń za sobą liczy, używających życia w taki sposób ten ma prawo uważać się za najlepszego, dalej idą różne stopnie *szlachetności* zajęć, według tradycyjnego uznania. Dla czego jedna praca jest szlachetniejsza od drugiej trudno dociec rozumowaniem. Czy użyteczność ich jest miarą w stopniowaniu takiem? Czy trudność lub potrzeba większych zdolności, czy korzyści osiągane z pracy pewnej dają jej pierwszeństwo przed innemi czy stopień umysłowości pracujących? Nie. Żadne z tych pytań nie tłomaczy dla czego np. biuralista nieskończenie wyżej się ceni od subjekta handlowego, subjekt, od czeladnika i t. d. dla czego kandydatka na żonę dystyngowaną; pogardliwem okiem mierzy kobietę pracującą, dla czego *dobrze urodzony* truteń usiłuje pomiatać człowiekiem osobistej zasługi?

Te pytania tylko zasada *pańskości* może rozwiązać. Kto mówi że zajęcie jakieś jest szlachetniejszem od innych — już wszystko powiedział; to się bliżej określić nie daje, to jest coś, co czuć trzeba, a tego nie odczuje — kto nie ma instynktu potemu.—Inaczej mówiąc, jest to ćwieczek wbity w głowę tak dobrze, jak każdy inny, a trzymający się uparciej nad wszelką inną zasadę.

Dzięki przesądowi nieuzasadnionych na niczem kastowych różnic, mamy społeczeństwo złożone z ogniw odpychających się od siebie mnóstwem uprzedzeń i niechęci, a praca znajduje nieprzełamaną zaporę w pojęciach o jej szlachetności. Życiu stawiamy przesądami swemi tysiące zawad, stwarzamy sobie trudności sztuczne, umysł i działalność ograniczamy przez niewolnicze posłuszeństwo prawom narzuconym rozumowi przez obyczaj.

Gdy mowa o arystokracyi zwykliśmy zwracać oczy w sfery rodzin, które, bądź w przeszłości odegrały jakąś rolę, bądź świecą tytułem nabytym u zagranicznych dworów. Niemoże nam się pomieścić w głowie, dla czego wynoszą się nad ogół ci, których przodkowie jakieś wybitniejsze miejsce zajmowali w społeczeństwie a tymbardziej, czemu odrębność jakąś w pojęciach, sposobie życia i ocenianiu swej godności zatrzymują ludzie, bez żadnych zresztą zasług dla społeczeństwa udarowani pustym tytułem. Zżymamy się na ich wyróżnianie się, dumę na ich śmieszne i zgubne przesądy kastowe, oburza nas tłum pozłacany który ślepo małpuje ich tony. Ale my, ubolewający nad zaślepieniem kasty przeżytej, nie zwykliśmy zapytywać się jak często w ocenianiu ludzi kierujemy się ich rzeczywistą wartością, i czy nie wchodzimy w skład kasty przeceniającej się równie jak tamta. Spojrzyjmy po za siebie, czy nie wierzymy silnie w swą *lepszość*, od tłumu *gorszych?*

Gdyby sumiennie wejrzeć w tę sprawę, wypadłoby może, iż arystokracyja tem zaciętsza jest w swych roszczeniach, im dalej odsuwa się od swego źródła, od arystokracyi właściwej i tam szerzy się zawzięciej gdzie nie ma żadnej choćby pozornie logicznej racyi bytu.

Zdarzyło mi się w przejeździe przez pewne powiatowe miasto dostrzedz niezwyczajne wzburzenie umysłów między liczniej niż zwyczajny rycerz. „Ważniejszą rzeczą jest strój duszy i serca waszego!“ Następnie zapowiada, że będzie mówił o *stroju serca* niewiast naszych, „o tym cieplikú ożywczym i niezbędnym jak promień słońca dla wonnych kwiatków.“ Zatem kobiety są słońcami, a my wonnymi kwiatkami. Piękne stanowisko!... Ale posłuchajmy dalej piękniejszych jeszcze rzeczy. Szan. rycerz z „Kaliszanina“ nazywa ów cieplik serca kobiecego „eliksirem cudownym, którego *skutki* nader zbawiennie wpływają na zdrowie moralne mężów, dzieci, i w ogóle wszystkich tych, którym niebianki te niosą w udziale cząsteczkę... ożywczego posiłku!“ Brawo! Widocznie szan. autor napił się dosyta owego eliksiru, że tak go innym zachwala. Rzeczywiście są kobiety, które go posiadają dosyć, ale żeby tak całymi strumieniami płynął ze wszystkich piersi kobiecych, o tem powątpiewamy. Większość ich wprawdzie posiada sporo eliksiru w języczku i pazurkach, jednak ten ostatni mniej smakuje i chociaż jest „ożywczym“ ale nie „posiłkiem.“ Wprawdzie zacne żonki nie omieszkują pokrzepiać nim

ŚLADY ŻYCIA.

XXXI.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

Pozwólcie, miłe sercu naszemu czytelniczki, rozpocząć dzisiejszą pogadankę od utworu, zakwitłego w krainie prowincyjonalnej muzy. Zaiste, godzien on jest nie tylko unieśmiertelnienia w szpaltach naszego pisma, ale i większej nawet chwały. Proponowałbym odbicie go w tysiącach egzemplarzy, na eleganckim papierze, wielkiemi złotemi literami, i przybicie na wszystkich miejscach, gdzie uczęszcza *ogoniasta* połowa rodu ludzkiego. (Darujcie to utarte już wyrażenie!)

Oto co czytamy w Gazecie Kieleckiej:

„Przed ołtarzem cudownym świętego Marcina,
Zamiatała posadzkę pobożna hrabina.
Widząc święty, że ogon aksamitny wlecze,
Nie wierząc komedyjantce, tak do niej wyrzecze:
Urżnąłem dla biedaka mego płaszcza kawał,
Bo od wielkiego zimna umierać się zdawał;
Oberżnijże swój ogon, daj biednej kobiecie,
A ona za wasanię posadzkę zamiecie.“

Nie żądamy bynajmniej, aby czcigodne niewiasty nasze składały tyle szlachetną ozdobę ciała na ołtarz niedoli. Licha by to była ofiara, bo strasznie zdezelowana. Ale przeciwko oberżnięciu nic a nic nie mamy. Owszem przyklasnęlibyśmy mu z radością, co daj Boże jak najprędzej ku pociesze zamulonych piersi i nieszczęśliwych nóg naszych!

Są jednakże ludzie, którzy inaczej o tem myślą. Nie słyszeliście o *rycerzu z Kaliszanina?*.. Nie! No to posłuchajcie, łaskawe panie.... Ani się spodziewacie, jak dzielnego obrońcę zesłały wam Nieba.

Przedewszystkiem gromi on naszych dziennikarzy i literatów, którzy w ostatnich czasach urządzają srogą krucyjatę przeciwko strojom, przyoblekającym ziemskie wdzięki wasze (niebiańskie bywają zwykle nieokryte). „Jakiż związek może mieć ubiór kobiety z jej rzeczywistą wartością?!“ — woła z zapałem

kle zebranemi gośćmi w ognisku życia miejscowej śmietanki towarzystwa, w restauracyi. Oburzenie było straszne, ogół czuł się obrażonym śmiertelnie. Rzecz się tak miała:

Właściciel sąsiedniej wielkiej fabryki wydawał zabawę dla swych współpracowników i ośmielił się na ten festyn zaprosić towarzystwo miejskie i wiejskie. *Inde irae.* Wieś podobno przysłała dość licznych przedstawicieli i niewstydziła się zbratać z ludźmi pracy, ale miasto! O niedoczekanie! Odpisano impertynenckim listem, i zagrożono dochodzić swej obelgi legalną lub honorową drogą. Umiemy być solidarni, gdzie tego zachodzi potrzeba... Nikt z inteligencyi miejskiej nie poniżył się przyjęciem zaprosin od fabrykantów, honor zatem nie został splamiony, ale oburzenie na zamach tak zbrodniczy, do dziś dnia żyje jeszcze zapewne w piersiach miejskiej inteligencyi.

Antoni Mirski.

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy).

— Zupełnie z tobą się zgadzam, droga kuzynko — odparł Szambor z pewną ironiją — śmierć Rabsztyńskiej otworzy ci pole do twoich dobrych chęci. Wiem, że tym chęciom potrafisz nadać kierunek skuteczny.

— Ufam sobie. Przecież Krzysia gwałtem chciała wyjść za pana Ludwika.... co to było płaczu i jęku — a przecież po dwukrotnem wyjeździe za granicę utuliłam w żalu niebogę i wystarałam się dla niej o męża, który wprawdzie nie ma tej wdzięcznej co pan Ludwik postawy, ale jest prezesem dwóch banków i ferwaltungsratem trzech kolei żelaznych! Że tam jest kapkę za stary i ma niektóre swoje nawyczki — to przecież nie tak wielkie nieszczęście!..

— Tu chodziłoby może więcej o godny familii związek! zauważył Szambor z przykrym uśmiechem.

— W takim razie — odrzekła, będzie zadanie bardzo trudne. Konkurenci z nazwiskiem lepszem szukają bogatych córek fabrykantów i bankierów aby się ostać na stanowisku. A Rabsztyńska zamieszkawszy w mieście powiatowem, poprzyjaźniła się z urzędnikami i w tej sferze wychowała Salomeę. Trzeba Herkulesowej pracy aby to wszystko odrobić i na nowo pannę ukształcić. Ale taka edukacyja wymaga pieniędzy!

— Rabsztyńska kapitałów nie ma — jest tylko dworek i kamieniczka.

— Wiele to wszystko może być warte?

— Zaledwie dwadzieścia tysięcy złotych reńskich....

— Na nasze około ośmdziesięciu tysięcy złotych!

Po tych słowach nastąpiło dłuższe milczenie. Szambor bębnił palcami po stole, a dama zdawała się rachować coś w duchu.

— Nie jest to wcale posagiem! rzekła po niejakim czasie — Salomea mogłaby tylko fortunką uszczęśliwić jakiego głodnego urzędnika, ale świetnie z tem za mąż wyjść nie można! Zresztą któżby chciał brać dworek i kamieniczkę w mieście powiatowem!

— Możnaby sprzedać!

— To prawda — ale cóż się z tego zostanie? Trzeba przecież gdzieś pannę pokazać, trzeba jakąś wyprawę kupić — i basta! A gdzież posag?

Szambor bębnił ciągle po stole.

— Mam tylko jednę radę — mówiła dama po chwili.

— Jaką? skwapliwie zapytał opiekun.

— Sprzedać dworek i kamieniczkę — pieniędzy tych użyć na kilka świetnych exkursyi za granicą... Do Ostendy, Wiesbadenu, Hamburga — w ogóle tam, gdzie z całego świata zbierają się ludzie bogaci i wyżej urodzeni... a być może, że piękne oczy Salomei... przy pewnej zręczności.... przykują do siebie wiązami hymenu jakiego Naboba albo nawet familijanta....

— Byłaby to rzecz ryzykowna!

— Jakież ryzyko? Z tą fortunką, jak mówiłam może Salomea iść za urzędnika lub co najwięcej doktora! Nie będzie to dla familii ani zaszczytem ani nabytkiem. A tak postawić tę fortunkę na kartę — można wygrać! Salomea może się podobać. Pieniędzy wystarczy na trzy lata. Możemy w koło niej stworzyć atmosferę znacznych dostatków — a ja mam już wprawę pod tym względem. Znasz historyję zamążpójścia Jadwisi... a przecież nie rozwodzą się!

Opiekun myślał długo nad tą mądrą radą wielko światowej damy.

— A gdyby stawka nic nie wygrała? zapytał po chwili z ironicznym uśmiechem.

— Gdyby stawka nic nie wygrała — mówiła zwolna dama, o czem jednak mocno powątpiewam....

— Przy zaletach wprowadzonego zręcznie na targ towaru — przerwał Szambor z uśmiechem.

Dama patrzała kilka chwil z nieufnością na kuzyna. Po chwili odrzekła:

— Nie potrzebujesz w ten sposób do mnie się odzywać. W sprawach familijnych powinniśmy działać i postępować otwarcie.

— Wszak dałem tylko dowód otwartości!

— Nietrzeba do tego mieszać własnych zapatrywań się na życie, jeżeli te zapatrywania wypływają tylko z osobistych naszych rozczarowań!

Szambor westchnął.

— W sprawach familijnych powinniśmy zaprzeć się samych siebie — a tylko ogół spraw naszych wspólnych mieć na względzie.

— Stosuję się do twojej woli kuzynko.

— Pytałeś się, co mamy w planie, gdy stawka się nie uda?

— O to pytałem!

— Familija na tem nic nie straci! Salomea przytuli się przy jakiej krewnej i doko-

---

słabość swoich mężów, ale żeby to ich tak bardzo posilało, tego nie powiemy.

Dalej waleczny obrońca nazywa kobiety „niezmordowanemi rycerkami,“ albowiem „przewidując wszelkie możebne ewentualności,“ czuwają nad każdym krokiem córek swoich, aby nie straciły eliksiru swego.“

Ale... ale... przyznając wszystkie niebiańskie przymioty tym ziemskim istotom, odmawia im jednego — *cierpliwości*, i prosi usilnie aby się o niego postarać raczyły... Przymiot ten ma ich ocalić od „każdej pokusy zboczenia z drogi powinności prawej żony, matki i opiekunki potrzebujących *pomocy sercowej (!).*“ Ważne i nowe odkrycie!... A myśmy myśleli, że to może jedyny prawie przymiot kobiecy. Żeby zaś on miał być puklerzem cnoty, to zaiste myśl, którą mogły wydać tylko operacyje mózgowe rycerskiego obrońcy niewiast.

Dalej szan. autor, cytuje nam piękne słowa, zaczerpnięte z katechizmu ks. Putiatyckiego, że Bóg nam dał rozum i wolną wolę (o sumieniu zapomniał); że wola nasza skłonniejszą jest do złego, jak do dobrego, ale to niepowinno być wymówką do zboczeń.

Zabłysnąwszy tak głęboką erudycyją, daje następnie małą nauczkę pupilkom swoim: aby nie grzeszyły zbytkiem uczucia, do czego mają wiele skłonności, albowiem zbytnia słabość względem córek jest *początkiem i końcem złego* w całej ich przyszłości!.. Dalej radzi im, aby nie dały się rozwijać w sercach córek „tej szkodliwej *samowoli*, która skieruje się natychmiast do *powierzchownego ustroju całej ich istoty* i zgubić je może bezpowrotnie! Tu już autor zanurza się w taką głębokość myśli, że żadna siła logiki podążyć tam za nim nie zdoła. Pozostawmy go więc w błogiej kontemplacyi o tem, że kobiety są sercem, a mężowie ich—siłą *materyi (?!)*, *bytu (?!)*, powagi i opieki bezwarunkowej i życzmy mu szczęśliwego wynurzenia umysłu z tej głębiny myśli bez żadnego szwanku dla zdrowego rozsądku, a w nagrodę rycerskości unieśmiertelnijmy imię p. *Kazimierza N.*

O świecie, ileż komizmu i humorystyki jest w tobie!...

Do humorystycznych wybryków należy też walka stoczona między p. Maryją Mirecką a artystką, która przybrała jej nazwisko, jako pseudonim. Rzeczywista p. M. obawia się aby kto jej nie posądził o popularyzowanie swej osobistości w przybytku Melpomeny, bo słusznie zresztą uważa imię za drogocenny skarb, którym często dzielić się bez uszczerbku nie można. W każdym razie jesteśmy pewni, że artystka zrobiła to bezwiednie, i że p. M. mogła załatwić sprawę w cztery oczy, a nie za pomocą publicznego ogłoszenia.

Chcielibyście może innych zdarzeń ulotnych. Ale niestety... pusto... głucho na powszedniej tkance życia naszego. O poważniejszych sprawach niżej się dowiecie. Tymczasem zanotować tylko możemy, że wszystko idzie po staremu na prowincyi miasta się palą, w Warszawie ludzie padają z dachów i łamią sobie ręce i nogi—małoletnie znów indywidua wpadają w otwarte kanały i w obec ciekawych widzów giną bezpowrotnie w ich paszczach, aż dopiero po kilku dniach znajdują się gdzieś

na żywota swego w praktykach dobroczynnych. Być może, że zbudzi się w niej powołanie do klasztoru!

— Z wszystkiego byłoby to jeszcze najlepsze.

— Dla czego uśmiechasz się przy tem z ironiją?

— Przypomniała mi się moja żona — u której podobne powołanie przy podobnych warunkach zbudzić się nie mogło! A byłbym może wtedy szczęśliwszym!

— Odgrzewasz niepotrzebnie minione rzeczy!

— Niestety — jeszcze nie przeminęły!

— Jesteś kuzynie człowiekiem wyjątkowym!

— Widzę to i cierpię wiele!

— Przecież nie każda kobieta jest tak nieoględną jak twoja żona.

— Sądzisz kuzynko, że przy tem wszystkiem co zaszło, brak jej tylko było pewnej nieoględności?...

— Kobieta dobrze wychowana powinna strzedz się skandalu!

— A to co leży między obowiązkiem a skandalem?...

— Dziwny jesteś dzisiaj!

— Przebacz kuzynko — wracam do spraw naszych familijnych.

— Teraz słuchać cię będę z uwagą.

— Zdaje mi się, że na dalszą rozmowę czasu nam zabraknie — Rabsztyńskiej może nie zastaniemy przy życiu!

— To jedźmy!

— Dobrze — zaraz po śniadaniu. Służę ci kuzynko!

Szambor podał rękę damie i oboje weszli do pokoju, gdzie na nich czekał już stół symetrycznie ubrany wykwintną zastawą przez starego Szymona.

XXVI.

Podczas tej rozmowy familijnej zdążał właśnie szczęśliwy Floryjan do dworca kolei żelaznej, na którym czekał go olbrzymi komin maszyny, buchający iskrami i czarnemi kłębami dymu.

Chodziło tylko o to, aby nie rozłączyć się z paką oznaczoną literami B. C., która miała być jego przewodnikiem aż do upragnionego ideału.

Z niepokojem śledził na dworcu losów tej paki. Widział jak czarny jakiś atleta podniósł ją na barkach z taką łatwością, jakby była napełniona pierzem. Rzucona na ziemię wydała dźwięk jakby była próżną. Cóż tam mogło w niej być? Prawdopodobnie jakieś drogie stroje.... Wreszcie położono ją na wagę, przylepiono numer, a czarny atleta porwał ją znowu i zaniósł do wagonu, który niecierpliwie stał na szynach.

Floryjan był już teraz pewny, że przewodnika swego nie straci z oka. Kupił na prędce kartę i zajął miejsce w wagonie, który znajdował się też w sąsiedztwie owej paki tajemniczej.

Ozwała się trąbka konduktora — za nią piszczałka maszyny — a cały pociąg ruszył zwolna i powoli zaczął się na zachód posuwać.

Rozkoszne sny owładnęły teraz serce Floryjana. Przytulony w kącie do poduszek zamknął oczy, aby siłą wyobraźni wywołać w duszy swojej obrazy, tak różne od tych, jakiemi otaczała go w tej chwili prozaiczna rzeczywistość! Jakże mocno odbijają sny jego i marzenia w tej chwili od marzeń tego opasłego kupca, który na przeciw niego siedzi i co chwila do grubej książki zagląda, jakby tam coś zachował! Jakże nędzny musi być żywot takiego człowieka — myślał sobie Floryjan, który czuje się szczęśliwym, jeżeli puszczony w świat kapitał jego wraca na powrót z pewnym przyzwoitym tylko procentem!... Jakże wyższym był od tego kupca Floryjan w tej chwili! Tamten pragnął tylko procentu, a ten goni wprost za kapitałem!

Niemniej maluczkie były prawdopodobnie marzenia tej bladej kobiety z bronzową walką, która po lewej stronie siedzi. Poświęciła się ona nauczycielstwu—i teraz jedzie sobie do obowiązku, którego tak gorąco pragnęła. Aby być nauczycielką włożyła do tego znaczny kapitał czasu, pracy a nawet i pieniędzy. To co za to dzisiaj mieć może, jest bardzo małym procentem od tego włożonego kapitału! A przecież marzy ona z rozkoszą o tych procentach.... czyż takie marzenia mogą się równać marzeniom człowieka, który wprost po kapitał zmierza?

Nawet ten żołnierz z kresą na czole — o czemże on może marzyć w tej chwili? Prawdopodobnie marzy o jakim złotym krzyżyku, który przypnie do piersi jako komentarz tej kresy na czole! On za tę kresę, za ten krzyżyk włożył cały kapitał życia i wszystkiego tego co się do życia wiąże... może miłość rodziców, kobiety i kraju! I jakiż procent dostanie on teraz z tego wielkiego kapitału? Cóż znaczy ten mały krzyżyk, z jakim czasami nawet chodzą na starość żebracy?....

Floryjan nie marzył o tak małych procentach, on marzył o wielkim kapitale, jaki zdobywa się nagle, od razu jakby wygraną na loteryi!...

W obec tych marzeń jakże maluczkim wydawał mu się ten świat rzeczywisty, który go teraz otaczał! A jakże uroczo z po za tego świata wygląda królowa snów jego, którą kochał w tej chwili całą potęgą serca! Jakże inną jest ona w obec tych zwykłych kobiet, które tam stoją na peronie dworca i podróżnym się przypatrują? Jakże inaczej patrzą ich oczy, jakże inaczej otwierają się usta do uśmiechu? Tajemnicza Elma nie otworzyła nigdy ust do niego, a jakże wymowny był ten uśmiech melancholijny, z jakim patrzała w zwierciadle na niego?

Tak marzył sobie Floryjan i z pewną pogardą patrzał w koło siebie jako człowiek wyższy. Nie wszystkim mogło szczęście tak posłużyć jak jemu! Nie wszyscy mogą posiadać z łaski Boga tyle warunków do tego szczęścia jak on!

I rozczulił się sam nad sobą i żebrakowi stojącemu przy pociągu na stacyi rzucił jałmu-

---

w okolicach Cytadeli, oczyszczeni już należycie w przezroczych wodach Wisły. Miasto nasze należycie zabezpiecza życie obywateli swoich. Ależ przecie dla takich drobnych wypadeczków, nie może wystawiać się na koszta... zamknięcia kanałów!...

Na zakończenie tej wstępnej pogadanki pozwólcie łaskawi czytelnicy, skreślić wam wierny wizerunek jednej przyjemności, której tak hołdują Warszawianie. Chcemy tu mówić o *wycieczce do Skierniewic*, o tych sielankowych rozkoszach, które wprawdzie żaden wieszcz jeszcze nie opiewał jambami, lub aleksandrynami, nie mniej przeto nęcą stęsknionych wonnego zefiru obywateli grodu naszego. Nie przeczymy, że uroczy pochód w krainę sielankowych zachwytów, w dobrze dobranym towarzystwie, pod skrzydłem białego amorka, może upoić niebiańską rozkoszą czułą duszę młodzieńczą. Ale zdejmcie ten urok, a wnet zniknie wszystko.

Przedstaw sobie, łaskawy czytelniku, felijetonistę twego, wstającego o godzinie 4-ej rano i śpieszącego co sił do banhofu kolei żelaznej w towarzystwie wyłącznie męzkiem. Dręczony senną zmorą, pociesza się on błogą nadzieją, że rozkosze, jakich dozna, stokroć mu to wynagrodzą. Przybywa wreszcie na miejsce przeznaczenia, i pierwszą jego czynnością jest *sielankowe farniente na trawce* w małym gaiku za rzeczką. Sądzicie że to tylko wstęp do krainy rozkoszy. Broń Boże! — jest to wyłączna prawie przyjemność, jakiej doznać tu można. To też po zwiedzeniu parku, dusza jego tęskniła wiecznie za tą trawką w gaiku za rzeczką, tak że cały prawie czas, wolny od badania miejscowych stosunków gastronomicznych, przepędzał w tem ustroniu. Nie sądźcie jednakże aby miejscowość ta pięknością swą przypominała urocze doliny Szwajcaryi. Broń Boże! —Wyobraźcie sobie kilka drzewek, pod nami skąpa dosyć trawka, rzeczka, w której wdzięki najpiękniejszej dziewicy ciemną przybrałyby barwę, za rzeczką tylne zabudowania domów Skierniewickich, wiele prozy niepotrzebnej — i oto wszystko, oto cała sielanka Skierniewicka.

Za miastem jest wprawdzie kilka dosyć ładnych miejscowości, lecz gdzież ich nie ma. Dla wynalezienia ich nie potrzeba aż do Skierniewic się udawać. W okolicach Pruszkowa są daleko piękniejsze ustronia. Park Skierniewicki, jedyny prawie cel wycieczki lubowników natury i sztuki, ani umywał się do naszych łazienek. Kreślimy te słów kilka, aby ocalić nowych turystów od niemiłego rozczarowania.

Ale a propos Skierniewic loteryja fantowa na dochód szpitala św. Stanisława, która miała się odbyć w parku, nie przyszła do skutku. W zamian za to w przyszłą niedzielę będzie miało miejsce przedstawienie amatorskie, z którego dochód na tenże cel obróconym zostanie.

Dziwne są drogi społecznego życia naszego. Na torze postępu, którego pierwsze hasła cichną jakoś zwolna, słyszeć się daje niekiedy głos, przypominający stare zabytki przeszłości. Kto głos ten obudza. Zobaczymy zaraz!

W szeregu osobistości, pracujących na pozór dla dobra ogółu, a rzeczywiście dążą-

żnę w tem przekonaniu że najszczęśliwszy wsparł najbiedniejszego!

Po niejakim czasie zmienił bieg swoich marzeń. Przypuścił wypadek, że nieznajoma jego bohaterka mogła w drodze się zatrzymać — aby prędzej dać mu sposobność zbliżenia się.

Pochwyciwszy raz myśl taką rozwinął ją w dziwnie romantyczne obrazy. Przypuszczał, że czeka go gdzieś na stacyi, że może nawet mistyfikuje go, aby go wypróbować.

Zaraz na najbliższej stacyi wyszedł z wagonu i cały pociąg starannie obejrzał do koła. Przeszedł koleją wszystkich podróżnych, czekał czasem, aż nieznajoma dama woalkę z twarzy odsłoni — ale królowej serca nigdzie nie było! Na stacyjach przypatrywał się wszystkim ciekawym spektatorkom, ale żadna z tych spektatorek nie była do niej podobną.

Wreszcie nadeszła noc i przecięła nić wszelkich dalszych obserwacyj. Znowu trzeba było wrócić do marzeń, a marzenia podrażnione zielonem światłem lampy rosły coraz wyżej i coraz wspanialej wyglądały. Tajemnicza węgierka przebierała się na przemianę to w dolman, to w attylę — brała na krucze włosy to kołpak z białem piórem, to zawój ze złotej materyi, jaki raz na operze widział.

Widział ją w bogatym salonie rzuconą na otomanie jedwabnej z książką w ręku...tu znowu widział ją przez kryształową szybę angielskiej karety.... a zawsze z komfortem, zawsze śród dostatków. d. c. n.

ZARYSY
Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

(ciąg dalszy).

Ihumeń, miasto powiatowe, nad Ihumenką, przy gościńcu z Mińska do Bobrujska, 9 mil od Mińska. Z miasteczka, w r. 1795 zostało stolicą powiatu. Osada to dawna, jeszcze z czasów pogańskich. Niedaleko stąd było duże jezioro, dziś prawie zupełnie wyschłe. Karol XII w r. 1708 przechodząc tędy, o mało co nie utonął w tem jeziorze. Najbiedniejsza to mieścina w gub. Mińskiej. Mieszkańców zaledwo 2190 płci obojej. Domów 331. Miasto posiada 1804 dziesięciny lasu i 360 dziesięcin ziemi. Na 1 maja i na 1 grudnia odbywają się tu jarmarki.

W powiecie Ihumeńskim główna rzeka Berezyna ze Swisłoczą. Spław na Berezynie bardzo znaczny. W powiecie tym 5 głównych portów: w miasteczku *Berezynie, Kaszeniu, Bożynie, Jakszycach* i *Jamnie*.

W m. *Berezynie* jest znaczna fabryka sukien i kortów. Mieszkańców około 1500. Domów 272.

Smiłowicze, o 4 mile od Mińska, posiada również fabrykę sukna. Niegdyś należało do Sapiehów, później Zawiszów, w końcu Ogińskich. Był tu klasztor Misyjonarzy.

M. *Rawanicze* słynne także znaczną bardzo fabryką wybornego sukna.

Słuck, starożytny *Słuczesk*, po obu stronach rzeki *Słuczy*, główny gród Drehowiczan, sięga odległej przeszłości. Już w XII wieku podług latopisów był grodem znacznym. Następnie stolicą księstwa Słuckiego i Kopylskiego. Sławny to był ród tych Olgierdowiczów, książąt słuckich i kopylskich. Niektórzy z nich siedzieli na stolicy kijowskiej, byli kniaziami Nowogrodu Wielkiego. Od Olelki, syna Włodzimierza Olgierdowicza mianować się poczęli *Olelkowiczami;* syn tego Olelki, i małżonki jego Anastasii *), Symon, był księciem kijowskim, drugi syn Michał ks. kopylskim **), a wnuk Olelki, syn Siemiona kijowskiego, Wasil, księciem słuckim. Ostatnią z tego sławnego domu była księżniczka Zofija, córka Jerzego, żona Janusza księcia Radziwiłła *), zmarła w r. 1617 i pogrzebiona w cerkwi ś. Trójcy w Słucku. Od tego czasu cała Słuczczyzna wraz z Kopylem przeszły we władanie Radziwiłłów, gdyż i stryjowie Zofii, Symon III i Aleksander II niezostawili potomstwa. A była to rozległa na mil 30 rozciągająca się żyzna i na całej przestrzeni Litwy najwyżej wzniesiona, kraina. Pszenica i len najobficiej tu się rodzą. Mnóstwo strumieni torują sobie drogi przez cały kraj, jedne ku morzu Baltyckiemu, inne ku Prypeci i do Dniepru. Najznaczniejsze rzeki Słucz, Łania, Maza i Oresa. Niemen wychodzi z rozległych źródeł na granicy księstwa.

Po upadku odrębnego księstwa, Słuczczyzna należała do województwa Nowogrodzkiego.

Słuck dzieli się na stare i nowe miasto. W *starym Słucku* wznosi się wspaniała góra, na której stał zamek wyższy, a u spodu był niższy czyli dolny (tak samo jak w Wilnie). Oba zamki wałem czworokątnym otoczone. Wał również otaczał i cały stary Słuck z czterema bramami: Wileńską, Kopylską, Ostrowską i Urzecką. Po za obrębem Nowego-Słucka który się wzniósł w XVI wieku, widać jeszcze ślady innego zamku wałami otoczonego. W *Nowym Słucku* jest właśnie cerkiew św. Trójcy, i dla tego cała ta część miasta zowie się *Trojczany.* Nakoniec jest jeszcze inna część miasta, bodaj że najstarożytniejsza ze wszystkich; tu bowiem jest prastare grodzisko, na którem także stał zamek i najdawniejsza cerkiew soborna (katedralna), w której spoczywają zwłoki Jerzego Juryjewicza ks. Słuckiego, zmarłego w r. 1586, a ojca ostatniej

*) Anastasija była córką wielkiego księcia moskiewskiego, Wasila Dymitrywicza i małżonki jego, litwinki, Zofii córki sławnego Witolda.

**) Ten Michał z rozkazu króla Kazimierza został ścięty w Wilnie w r. 1482. Ob. *Otia Publica* (str. 348), Piesiałowskiego, a także *Skarbiec* Daniłowicza, t. II, N. 2012.

*) Księżna Zofija i książe Janusz nastręczyły właśnie J. I. Kraszewskiemu myśl napisania jednej z najpiękniejszych jego powieści p. t. *Ostatnia z książąt Słuckich.*

---

cych jedynie do wyzyskiwania dla własnej korzyści wszelkich słabostek niedojrzałego jeszcze społeczeństwa, są osobistości, które nie wahają się poruszyć zapleśniałe struny starych, a szkodliwych popędów. Byle handel szedł!—Oto hasło podobnego rodzaju indywiduów. Nie radzimy nikomu iść po tej drodze... Prędzej czy później odkryje się nagość moralna, i niezbyt piękne ukaże oblicze.

Kolce ogłaszają nową, *pełną, wzorowo wykonaną edycyją pism Pawła Kocka.* Szanownemu wydawcy przypomniały się błogie czasy, kiedy na tego rodzaju spekulacyjach spory grosz się zarabiało. Daruj, łaskawy panie, czasy te minęły, i to bezpowrotnie. Kock może mieć pewne, doniosłe nawet znaczenie dla społeczeństwa francuzkiego. Ale dla nas, czem on jest właściwie! Jaskrawym malarzem najdrastyczniejszych obrazów, które podżegają najniższe instykta natury ludzkiej. Utrzymujesz pan, że dla umysłów dojrzałych nieszkodliwa to strawa. Ale, czyż wiele mamy takich dojrzałych umysłów. Czyż znacznej części ogółu nie stanowią jednostki nie wyrobione duchowo, mogące zaliczyć się śmiało do rzędu „pełnoletnich dzieci.“ A młodzież dorastająca, i chciwa tego rodzaju łakoci!... Podsuń je im na nowo, gdyż zapomnieli już o nich na chwilę. Dla najbardziej zresztą dojrzałego umysłu czytanie tego rodzaju płodów może być rzeczą nieszkodliwą, ale nigdy pożyteczną. Czyż my, którym brakuje tylu arcydzieł obcej literatury, w zaczątku pracy dla ich przyswojenia mamy robić kompletną edycyją dzieł *takiej* znakomitości?. Śliczna perspektywa!... Trzebaby później przystąpić do Borna, i innych podobnego rodzaju twórców.

Doprawdy fakt powzięcia podobnego zamiaru będzie ciężkim do zmazania grzechem na drodze literackiej karyjery Kolców, które pod nową Redakcyją tak dobrze zaczęły, a tak skandalicznym torem teraz iść pragną.

Nie pomogą, łaskawi panowie, sofizmatyczne usprawiedliwienia, któremi uspokajaliście obawy autora „Chwili obecnej.“ Ogół potępi i nie poprze przedsiewzięcia waszego. Inaczej smutne mielibyśmy o nim wyobrażenie.

Nie mamy nic przeciwko spekulacyi, ale niechże ona będzie godziwą i nie przynoszącą społeczeństwu szkody moralnej, jeżeli już pożytku przynieść nie zamierza!

Oto druga zapleśniała struna, którą jakiś spekulant, czy dwaj nawet spekulanci poruszyć pragną. Herb! to rzecz potępiona już oddawna przez większość społeczeństwa. Każdy, kto choć odrobinę powąchał idei postępowych, rzuca gromy potępienia na zacofańców, którzy przypisują jakąś wartość do czczych tytułów, własną nie zdobytych zasługą. Czy tak jest jednakże w gruncie. Nie jednemu z tych postępowców błogo się robi na sercu, jeżeli mu ktoś przypomni starożytne pochodzenie jego rodziny, wielkie zasługi przodków. Nie myśli on wprawdzie zasypiać na laurach, waleczną dłonią ich zdobytych. No, bo licho by zakonserwował na nich swą ziemską powłokę. A postępowcy, to *licha fara.* Trzeba pracować na wyżywienie grzesznego ciała!... Wielu z nich zresztą pojmuje nawet doniosłość pracy, czuje pewne obowiązki względem społe-

Olelkowiczównej, Zofii, która spoczywa w cerkwi ś. Trójcy w bogatej cynowej trumnie. Był tu monaster św. Ilii i kilka jeszcze innych cerkwi. Starożytne cerkwie, Troicka i Soborna spaliły się, lecz na ich miejscu wymurowane nowe, ozdobne w b. stuleciu. — Był tu także klasztor Bernardynów, oraz kollegijum Jezuitów i kościół farny i dziś istniejący. Istnieje także kościół helweckiego wyznania. Fara ma być najdawniejszą z kościołów. Stąd to powstała znana pieśń kantyczkowa, która w przysłowie się zamieniła:

Starsza Słucka Fara
Niż niemiecka wiara.

Starowolski w połowie XVII wieku już policzył Słuck do największych miast w kraju. Jako rezydencyja panujących książąt, a później możnych Radziwiłłów, miasto było ludne, bogate handlem, przemysłem i fabrykami, z tych najsławniejszą była pasów złotolitych, lub jedwabnych, której żadna fabryka w Polsce wyrównać nie mogła. Jeszcze i dziś widzieć można gdzie niegdzie w rodzinach zamożnych *) te pasy z ruskiemi napisami, a niekiedy *Factus est Sluciae*, bogactwem i pięknością wyrobu nieustępujące wcale perskim i tureckim. Takich pasów rocznie wyrabiano do 200, cenionych od 10 do 50 dukatów, niekiedy i więcej.

Ciekawe są dzieje Słucka, dobrze znane z innych źródeł, szczególnie od wieku XIV. Przez długi czas toczyły się tu waśni katolików z ewangelikami, których stałemi protektorami byli Radziwiłłowie, szczególnie Janusz, pierwszy właściciel tego kraju, Krzysztof hetman, Bogusław, a także córka jego Ludwika Karolina margrabina brandeburska, a w powtórnem małżeństwie księżna nejburska **). Kalwini utrzymywali tu świetne gimnazyjum, mieli własną drukarnię. Ta opieka słynną była i za granicą, gdy nawet Szkoci w znacznej liczbie tu osiedli, nie znajdując tej opieki w kraju własnym. Oni to wielce przyczynili się do rozszerzenia handlu i przemysłu. W w. XVII Słuck staraniem księcia Bogusława, był silnie obwarowany, tak że fortece słucka i lachowicka liczyły się do najsilniejszych w owym czasie. Załoga składała się z czterech pułków, dobrze uzbrojonych i kosztem Radziwiłłów utrzymywanych. W r. 1655 kniaź Trubecki dwukrotnie oblegał miasto ze znacznemi siłami, ale zdobyć zamku niezdołał, chociaż dla łatwiejszej obrony część miasta *Ostrów* zwaną, spalić musiano.

Obecnie w Słucku 9922 mieszkańców, domów 1100, 7 cerkwi prawosławnych i 1 monaster, 1 kościół katolicki, gimnazyjum męzkie o 7 klasach. Do miasta należy 1,061 dziesięcin ziemi. Magazynów i sklepów około 120.

Kopyl, dziś mała mieścina, jak wieńcem otoczona prawie dokoła mnóstwem starożytnych kurhanów, w których narzędzia kamienne i kościane znajdowano, co samo już dostatecznie wielotysiączną lat starożytność tego miejsca stwierdza. Dzieje Kopyla są wspólne ze Słuckiem, chociaż Kopyl jest osadą starożytniejszą. Był tu zamek warowny, dobrze zachowany jeszcze na początku wieku XVI, na wałach bowiem onego w r. 1506 księżniczka Anastazyja, o której już wspomnieliśmy, stoczyła walną bitwę z Tatarami i świetne zwycięztwo odniosła. W XVII stuleciu Kopyl odznaczał się znaczną liczbą i doborem rzemieślników, szczególnie czapników i tkaczów. Były tu cerkwie starożytne, 1 kościół i zbór ewangelicki. Dziś mieszkańców zaledwo około 2 tysięcy. Domów około 300. Od 6 marca do 5 czerwca bywają tu co czwartek jarmarki.

Nieśwież głośny nie tylko w kraju, ale i za granicą. Była tu prawdziwie królewska rezydencyja. Inwentarze archiwalne Nieświeżskie nawet z drugiej połowy przeszłego stulecia w zdumienie wprawiają przepychem, bogactwem, zabytkami sztuki, wreszcie porządkiem administracyjnym, któremi się Nieśwież odznaczał przez wieki całe, mając wszystkie cechy stolicy prawdziwej udzielnego bogatego księstwa. Nic w tem dziwnego, gdy przypomnimy sobie, że wiele tysięcy miast i miasteczek, wsi i zaścianków, z kilkudziesięciu tysiączną ludnością na całej przestrzeni Litwy w rozmaitych miejscach mieszkających, składać się musiało na utrzymanie świetności stolicy Radziwiłłowskiej. Zdaje się że Ostrożcy byli bogatsi od Radziwiłłów, a jednak Ostróg nawet był przyćmiony świetnością Nieświeża. Nieśwież zatem przodował przed wszystkiemi posiadłościami prywatnemi na Litwie i Rusi. Wiele prac piśmiennych poświęcono opisaniu zabytków, bogactw i urządzeń Nieświeżskich, jak również dziejów tego miasta *). Nam więc pozostaje pokrótce tylko wskazać ważniejsze fakta.

Nieśwież należy także do starożytnych osad w tym kraju. Już w r. 1224 podług latopisów Nieśwież był stolicą książąt udzielnych. Jerzy książe Nieświeżski właśnie w tym roku poległ w bitwie nad Kalką z Tatarami. W połowie XIII wieku Litwa zagarnęła księstwo Nieświeżskie, wszakże widzimy jeszcze długo książąt odrębnie dzielnicą tą rządzących, jak Grzegorza i Jana w r. 1388, jako zależnych od Dymitra Korybuta księcia Nowogrodzko-Siewierskiego, a około roku 1430 Fedkę ze krwi ks. litewskich pochodzącego. Dzielnica jego dosyć szeroko rozciągała się. Następnie Nieśwież przeszedł w prywatne władanie głośnego na Litwie rodu Kiszków. Anna Kiszczanka wyszła za Jana Mikołajewicza Radziwiłła, Brodacza, kasztelana połockiego (ojca sławnego Mikołaja Czarnego); z wygaśnięciem rodu Kiszków, niezmierne ich dobra przeszły do Radziwiłłów i Chodkiewiczów, gdyż druga Kiszczanka była małżonką Krzysztofa Chodkiewicza, wojewody wileńskiego. Nieśwież zatem z całem księstwem wraz z Ołyką i połową Łachwy, należały od tego czasu i do dziś dnia do Radziwiłłów, a Mikołaj Czarny obda-

*) U ś. p. Jerzego ks. Lubomirskiego był znakomity zbiór pięknych pasów słuckich.

**) Drugim mężem księżniczki Ludwiki był Karol Filip ks. nejburski, palatyn Renu.

*) Syrokomla, Baliński, Kotłubaj i w. i.

---

czeństwa i z pożytkiem dla niego pracuje. Lecz i tym nawet, znacznej przynajmniej ich cząstce pachną stare pargamina herbowe.

Jednakże struna tych uczuć została już zwolna przygłuszoną, a nieczną jest dłoń, która ją na nowo poruszyć pragnie. Zaiste, wydawnictwo „Rocznika heraldycznego,“ czy dwóch nawet roczników jest ciemną plamą na horyzoncie naszego życia społecznego. O spekulacyjo, spekulacyjo! — jakich dróg ty szukasz do zaspokojenia groszożądnych dążności swoich! Nie wahasz się nawet odgrzebywać starych pleśni w mózgownicach naszych. Masz przecie oto drogę nowych, szlachetniejszych popędów! Wyzyskuj je, a działalność twa, aczkolwiek egoistyczna, może być nawet pożyteczną dla społeczeństwa. Obierz sobie zresztą jakie inne, obojętne dla dobra ogółu drogi, i szczęść ci tam Boże!... Ale precz z pleśnią i przesądem!...

Znowu jakaś uczona groszołówka raczyła zawitać do miasta naszego. Fizyko-mechanik p. D'Auroche produkuje świetne przedstawienia fizyczno-optyczne z dziedziny astronomii, i geologii. Po tak wykwintnej uczcie umysłowej na zakąskę daje epizody z wojny franko-germańskiej. Czyżby i synowie nadsekwańskiej ziemi mieli iść śladem nadsprejskich pogromców swoich, zwracając ku nam groszożądne serca i puste kieszenie. Doprawdy tyle już wyszafowaliśmy ironii na ten temat, że już nam słów nie staje. Natomiast, czynna odmową poparcia należałoby raz na zawsze odstraszyć zagranicznych sztukmistrzów.

Nie wspomnieliśmy dotąd o teatrzyku na *Antokolu*. Trudno bo nam było się wybrać do tak odległej krainy. Zdecydowaliśmy się wreszcie, i przypatrzywszy się kilkakrotnie kapłanom i kapłankom jego, kreślimy tu oto króciutkie sprawozdanie.

Przedewszystkiem należy się słuszne uznanie reżyseryi p. *Cybulskiego*, który pojmując podniosłe znaczenie sztuki, najbardziej nadobne a swojskie po większej części kwiecie produkuje pragskiej przeważnie publiczności. Teatrzyk ma cechę popularną, ludową prawie. Misyja więc tu piękna do spełnienia, i p. C. należycie czuje to i uskutecznia.

Jedyne, mniej powabne kwiecie przedstawia tu „Czuła Struna,“ ale to drobnostka w porównaniu z wyborem całego repertoaru. Fredro, Korzeniowski, Bałucki, Anczyc, Bliziński i Narzymski — oto twórcy, których płodami karmi reżyser publiczność swoję.

Z artystów, prócz p. *Cybulskiego*, którego talent znany nam już jest skądinąd, zasługują na wzmiankę pp. *Stankiewicz*, *Krzyżanowski*, *Modzelewski*, *Janowski* i *Frej* oraz panie *Gajewicz*, *Rawicz* i *Szlader*.

P. *Stankiewicz* jest to młody artysta, któremu nie można odmówić kiełkujących zdolności. Więcej tylko wprawy i swobody w ruchach, więcej cieniowania w dykcyi, a tajemnice prawdziwej sztuki otworzą się zdolnościom młodego artysty.

PP. *Krzyżanowski* i *Modzelewski*, celują znajomością sceny i nabytą wprawą. Pierwszy nie złym jest w rolach charakterystycznych. Obaj jednakże artyści posiadają skromny zasób zdolności, i grzeszą przytem pewnemi

rzony przez Karola V tytułem księcia, pisał się już *księciem na Nieświeżu i Olyce.*

Cerkiew grecka sięgała założeniem pierwotnem odległej przeszłości, kościół katolicki przez Kiszków założony, oddany później przez Mikołaja Czarnego kalwinom, którzy mieli tu sławnego uczonego ministra, *Wawrzyńca Krzyszkowskiego.* Było tu i kilka innych jeszcze kościołów wyznania helweckiego. Atoli Krzyszkowski zaraz po śmierci protektora swojego Mikołaja Czarnego, został aryjaninem i zrobił Nieśwież siedliskiem socyniańskiem w Litwie. Sprowadzony z Pińczowa, znany powszechnie *Daniel z Łęczycy*, w r. 1568 przedrukował tu nowy testament z Biblii Brzeskiej, z pewnemi zmianami, a następnie ogłaszał już książki wyłącznie dla Aryjanów przeznaczone, jak biblię przekładu Szymona Budnego, w dwóch wydaniach 1570 i 1579 r., oraz pisma polemiczne Grzegorza Pauli. Aryjanie mieli za swojego protektora Macieja Kawieczyńskiego głównego rządcę księstwa — a nadto i cała nawet szlachta Nieświeżska i Nowogródzka już była przesiąkła aryjanizmem. Mikołaj Krzysztof Radziwiłł *Sierotka*, syn Mikołaja Czarnego, wrócony na łono wyznania katolickiego, idąc za natchnieniem brata swojego Jerzego, którego jeszcze młodzieńcem Ojciec św. mianował biskupem wileńskim, sprowadził do nieświeża Jezuitów (1588) i kościół farny odebrany reformatorom im oddał.

d. c. n.

Urywek z pamiętnika

PRZEZ

Adolfa Jankowskiego.

(ciąg dalszy).

Na początku bieżącego stulecia dobrze się dali we znaki ludności miejscowej Sandomierza, Ober-lejtnanci Kraisamtu. Była to głodna szarańcza przed chciwością której, nic ostać się nie mogło. Gdy tedy szły skargi i zażalenia na którego z nich, a uzbierała się już ich taka masa, że odeprzeć tych zarzutów było niepodobna, natenczas przenoszono go w inne miejsce, a przysyłano ztamtąd drugiego.

I przyjeżdżał ów, niby lepszy, z żoną i dziećmi, końmi, sługami i całym dobytkiem swoim na jednej wprawdzie furze, ale trzech nie starczyło, aby go zabrać przy odjeździe.

Nie wchodzę w to, jakiemi tam drogami i środkami pan lejtnant zbierał mienie swoje, bo drogi to musiały być pewne a środki niezawodne, kiedy taktyki swojej nie zmieniał, chyba że go znaglono do tego przymusowemi środkami. Ale to pewna, że praktyki pani ober-lejtnantowej niezawodnie były niechybne i do zamierzonego celu, prostą drogą zmierzały.

Skoro oznajmiono któremu z możniejszych obywateli miasta, iż go spotka ten zaszczyt, że ober-lejtnant, stanie u niego na kwaterze, to już bądź zdrowa duszo. Zostawało mu tylko zwijać manatki, i żegnać gościnne progi domu swego. Mógł bowiem z góry być pewnym, że lokator jego wybierając się na nowe przymusowe mieszkanie do sąsiada, wpierw poprzedniego nie opuści, dopóki nie wyssie z obywatela wszystkiego coby mu się podobało, albo, co na jedno wychodzi, co unieść, lub uwieść można było.

I rozpoczynało się gospodarstwo owe, pierwszego zaraz dnia przyjazdu lejtnanta od tego, że sposobem rekwizycyi, żądał on, dla koni obroku, a dla ludzi swoich wygodnego pomieszczenia i napasania ich do syta. Ale, chociaż za to wszystko odpowiadać miała niby kieszeń jego, tak zawsze jakoś wypadło, że realizacyja sum tych, neapolitańskich niby królowej Bony, odbyć się mogła kiedyś dopiero na polach Elizejskich. A jak widzimy, nie bardzo spieszny był to termin!

Wszakże, nie realizowane nigdy rachunki pana Ober-lejtnanta, były w magicznem związku z działaniami połowicy jego, a troskliwa dama, wcale z swej strony nie próżnowała, próżnować nie lubiła. Ale i owszem z wrodzoną nawet sobie praktycznością, zabierała się do grabieży.

Dziś podobały się jej zatem czepki koronkowe i paryzkie rękawiczki, albo wstążki morowe i inne drobiazgi do gospodyni lub córek należące. Jutro znów admirowała ona kolczyki ozdobne, szyldkretowe grzebienie, klamry srebrne i pierścienie z drogiemi kamieniami. Pojutrze nakoniec zachwycała się już nad całemi sukniami, rozumie się co najkosztowniejszemi i bogactwem kolorów szalów tureckich, a przymierzała wszystko bez ceremonii czy pasuje jej do twarzy. I pół prośbą, pół groźbą wśród najsłodszych uśmiechów zdobywała te piękne rzeczy dla siebie przyrzekając w zamian, protekcyją u męża. A ciągle jeszcze chodziła po pokojach, i znowu szukała a szperała po kątach, czy jej się coś takiego przypadkiem niepodoba, coby się pochwycić dało.

Był to czysty najazd Tatarów.

Ale czasem i zemszczono się też porządnie za to gospodarstwo i matka moja nieboszczka, będąc w dzieciństwie w domu rodziców, osobistym świadkiem absolutnego takiego rządu, opowiadała mi następujące zdarzenie.

Rozsyłano najczęściej na kwatery obywatelskie dzietnych i żonatych lejtnantów. Tą razą jednak, do domu sąsiada dziadka mego, a osobistego jego przyjaciela, przyjechał na konsystencyją ober-lejtnant, kawaler, nie młody już, i w pretensyi do żenienia będący.

Nasz kapitan nie młokos, liczący z górą lat pięćdziesiąt, był bardzo wysoki i miał długą cieniuchną szyją. A cztero-calowy kołnierz munduru jego na wszystkie haftki zapięty, wiele jeszcze miejsca zostawiał nad sobą, dla pokazania najprzód grubego czarnego halstucha na szyi, a następnie, opalonego na słońcu karku.

Nad szyją tą dopiero, wznosiły się kępki rudych, krzaczastych faworytów, łączących się z mocno wypomadowanemi szpiczastemi wąsikami pana lejtnanta, i nos jego długi kończa-

---

manijerami. W każdym razie mogą pracować z pożytkiem dla niezbyt bogatego przybytku sztuki.

P. *Janowski* jest bardzo początkującym aplikantem w biurze Melpomeny. W rolach poważnych brak mu szlachetnej dykcyi. W lekkich komicznych kreacyjach (w Czułej Strunie np.) daleko lepiej się przedstawia.

P. *Frej* celuje w komicznych sytuacyjach.

Z personalu żeńskiego najbardziej wyrobioną artystką jest *pani Gajewicz.* Znajomość sceny, swoboda gry i umiejętność dykcyi — oto przymioty, którymi, jakkolwiek z niezbyt wielkim stopniu, stosunkowo jednakże dosyć pokaźnie włada ta artystka.

Panna Rawicz jest młodziutką, obiecującą dosyć aktorką. W grze jej widać wiele szlachetności i inteligencyi. Więcej tylko potrzeba znajomości sceny i wyrobienia, szczególniej w grze twarzy.

Panna Swlader jest niezłą w operetkach i komedyjkach ze śpiewkami.

W tych dniach opuścił prasę „Warszawski rocznik adresowy firm handlowych, przemysłowych i rękodzielniczych,“ wydany pod redakcyją pp. Rafalskiego i Jakubowicza. Dzieli się on na dwie części. Pierwsza zawiera kalendarz na drugą połowę roku 1875, wagi i miary, tabele porównawcze, ustawę telegraficzną i pocztową. Część druga stanowi dział adresowy, zawierający adresy różnych kupców i przemysłowców wraz z skorowidzem. Wydawnictwo to prawdziwie pożyteczne i zasługuje na poparcie ze strony klasy interesowanej.

Mamy tu do zanotowania fakt nie małej społecznej doniosłości. Jeden z czeladników rzemieślniczych ma zamiar urządzić własnym kosztem czytelnią, z której najprzód najbliżsi towarzysze, a następnie i dalsi koledzy korzystać będą mogli.

Fakt ten dowodzi jasno, że ożywcze promienie oświaty przedzierają się już do tej warstwy społecznej, i przy zdrowym gruncie moralnym, jaki posiada ona niewątpliwie, błogie wkrótce wydadzą owoce. Inicyjatywa jednostki, której imię wartoby złotemi literami zaznaczyć w księdze dziejów chwili obecnej, wiele tu zdziałać może. Klasa rzemieślnicza przedstawia miękki nader materyjał społeczny, z którego wiele zrobić można. Trzeba tylko umieć przemówić do tych zacnych w gruncie dusz. Przykład kolegi będzie zdaje się, najlepszym motorem.

Szczęść Boże!...

A teraz pozwólcie nam też, łaskawi czytelnicy, wskazać i odwrotną stronę medalu. Oto fakcik charakterystyczny. Jeden z cechów rzemieślniczych warszawskich wyprawił ucztę. Bawiono się ochoczo, jak to mówią, „od serca,“ i nie mielibyśmy nic przeciwko temu, gdyby nie fatalny *finał*, który przypominał krwawe turnieje średniowieczne. Na pobojowisku zostało wiele trupów... z butelek i szklanek... i kilku ranionych, wprawdzie nie śmiertelnie, ale dosyć silnie, i to w serdecznych uściskach rzemieślniczej braci. Wprawdzie

ty, okularami osiodłany. Ale myliłby się okrutnie ten, coby chciał taki stąd wyprowadzać wniosek, że okulary te służyć miały do rozjaśnienia osłabionego wzroku. Bynajmniej! pan lejtnant oczy albo raczej oko jedno miał zupełnie zdrowe, i nigdy na nie niechorował, a okulary służyły mu tylko do zamaskowania wzroku.

Złośliwi, ach! gdzież złośliwych nie ma! utrzymywali.... że jedno oko pana lejtnanta było wstawione. Ale przekonać się o tem trudno było, gdyż pan kapitan troskliwie zawsze odwracał się plecami do światła, aby uniknąć nieprzychylnych i zawistnych piękności swej podejrzeń.

Wreszcie, uroczą postać jego dopełniała.... łysina. Ale była to owa poważna bardzo, a wrażająca dla pana ober-lejtnanta należne uszanowanie i literalnie całą głowę jego pokrywająca łysina. I tylko kępki włosów nie oznaczonego koloru, pod grubym plastrem pomady starannie z boków zaczesane z wielką pracą i niemniejszą sztuką, spinał on na środku głowy szyldkretowym grzebieniem.

Oto jakim się oczom przedstawiał pan lejtnant w swej okazałości.

Nie pamiętam z licznych a nader interesujących opowiadań matki, jaką tam u licha drogą jeden z młodych okolicznych obywateli Sandomierza, w ściślejszą wszedł z nim znajomość? Najpewniej chyba koniecznością zmuszony, lub kłopotliwą jakąś sprawą.

Niemasz wątpliwości, że lubo sowicie się już on wypłacił panu kapitanowi za zrobioną sobie przysługę wszakże gdy w domu gospodarza, gdzie lejtnant stał na kwaterze, odbyć się miało wesele jednej z córek gospodarskich a pan X* młody ów obywatel, z domem tym w dawnych serdecznych żył stosunkach, wymógł jeszcze na nim lejtnant w dodatku, że X* wprowadzi go tam i zebranym damom, osobiście przedstawi.

Ktoby przypatrywał się uważnie, jak X* zabierał się do spełnienia tej obietnicy, z pierwszego rzutu oka poznałby, że podejrzanie jakoś gotuje się on, do wykonania swojej misyi. Z wieczora już w wigiliję wesela rzeczy swoje zupełnie spakował, a skoro nazajutrz goście po odbytym ślubie córki gospodarza zjechali się na gody, kazał stangretowi swemu z zaprzężoną bryczką w zupełności do drogi gotową, czekać na podwórzu na każde zawołanie.

O naznaczonej lejtnantowi godzinie pan X* stawił się przecież u niego najpunktualniej w balowym stroju i razem na pokoje gościnne weszli.

Dorodne dziewice nasze, w eleganckich powiewnych strojach, z bukietami i wachlarzami w ręku, siedziały wieńcem do koła salonu. Kapitan zachwycony niemi oblizywał się tylko, przestępując z nogi na nogę, i sam już nie wiedział, z którego końca rozpocząć atak konkurencyjny.

Prawa i lewa strona... czarowały zarówno, obie też równo ponętne były, i wybór na prawdę utrudniony niesłychanie, bo wszystkie te panny hoże były, a młode i ładne.

Kapitan, stał na rozpalonych węglach i cierpiał męki Tantala.

Nareszcie probując losów palcami, zdecydował się na lewo, i już z uprzejmym na ustach komplementem, zbliżał się ku najbliżej siedzącej z tej strony okazałej piękności, która spoglądała na niego szyderczo i wyzywająco, gdy nagle przypomniał sobie nieborak, że to wszystko zapewne polki, a on jak na złość, ani słówka jednego językiem tym bąknąć nie umie. Cofnął się zatem pospiesznie i z obawami swemi, z wielce zafrasowaną miną zwierzył się panu X*.

Kiedy kapitan stał ze spuszczonym wzrokiem i załamanemi rękami, X* kontent był niewymownie, że mu się tak łatwa zdarza sposobność, wystrychnienia lejtnanta na dudka. Patrzał za tem na niego z nieutajoną pogardą. Ale gdy lejtnant podniósł oczy po chwili, X* przybrał już na siebie minę zakłopotaną i uderzając się w czoło rzekł:

— A do licha! masz słuszność kapitanie, na śmierć o tem zapomniałem! Przecież, znalazłbym jeszcze może jaki skuteczny środek—gdyby...

— Gdyby co? szybko przerwał lejtnant!

— Gdybyś pan był chętnym.... rzekł X* wolnym głosem.

— Chętnym? Do czegóż? Ach zmiłuj się pan, mów prędzej! rzekł kapitan gorąco.

— Do nauczenia się... polskiego wierszyka na pamięć, mówił X* dalej filuternie patrząc kapitanowi w oczy.

— Ja! mam się wyuczyć wierszyka polskiego? Ja! To niepodobna!

— Ha! rób pan więc co mu się podoba. Ja nie widzę przecież na zaradzenie złemu innego środka. Ale gdybyś spełnił kapitanie moję propozycyją, wtenczas ręczę ci za dobry skutek, mówił X* patrząc lejtnantowi w oczy z pewnością w głosie.

Kapitan szybko zawołał:

— Pan mi ręczysz za skutek?

— Niezawodnie!

— Ależ, ja nigdy nie mówiłem — po polsku!

— Nic nie szkodzi, nic nie masz trudnego. Zresztą zdaj się pan na mnie z ufnością a będziesz mi wdzięcznym.

— No! nakoniec choćbym i zaufał słowu pańskiemu, na nic mi się to nie zda, bo sam wierszyka tego żadną miarą po polsku nauczyć się nie potrafię.

— Nie turbuj się już o to ober-lejtnancie; ja pana nauczę.

— Pan! chciałżebyś więc tego podjąć się dla mnie?

— Choćby natychmiast, cóż to tak wielkiego!

— Ach! na prawdę, zachowam panu wdzięczność do grobu!—rzekł lejtnant— w przystępie czułości rzucając się panu X* na szyję.

X* w odpowiedzi na te serdeczne uściski, z których jak mógł wywinął się szczęśliwie, popchnął przed sobą lejtnanta do drugiego pokoju, z góry spojrzawszy na niego a skoro drzwi za sobą zamknęli, usiedli na kanapie i

---

wina tu więcej fatalnego wpływu *spirytualizmu*, niż złej woli. Ale od czegóż rozsądek, który panować powinien nad chwilowym popędem namiętności. Nie podzielamy zdania jednego z poważnych publicystów, który, gromiąc ten fakt, przypisywał go „wierze w brutalną, bezmyślną siłę." W każdym razie wolelibyśmy, aby podobnego rodzaju wybryki jak najrzadziej się trafiały. Rzeczywiście, rzemieślnikom naszym brak zupełnie niezbędnej ogłady i estetycznych form towarzyskości, o nabycie których wartoby się postarać.

Pan *Antoni Porębski*, redaktor *„Tygodnia Piotrkowskiego"* ma zamiar wydawać pożyteczne bardzo publikacyje. Będą to dwa *Roczniki*, jeden dla klasy inteligentnej, a drugi dla ludu. W pierwszym będą się podobno zawierały wspomnienia historyczne, artykuły popularne z różnych gałęzi wiedzy i belletrystyka.

Ośmielimy się tu zrobić maleńką uwagę. Tego rodzaju publikacyje prowincyjonalne mają za cel, zdaniem naszem, zadosyćuczynienie specyjalnym miejscowym potrzebom. A zatem główną wyłączną prawie treść ich winien stanowić szczegółowy statystyczny i opisowy rys społeczno-ekonomicznego stanu miasta i jego okolicy. Prace naukowe i literackie ogólnej doniosłości mogą stać na drugim planie, są to bowiem rzeczy, które gdzieindziej znaleść można. A wskazany wyżej materyjał nadaje podobnego rodzaju publikacyjom doniosłe nader znaczenie. Nie tylko bowiem zadawalnia miejscowe potrzeby, ale stanowi drogocenną skarbnicę dla poznania stanu kraju całego, będąc cząstką ogólnej jego statystyki i społeczno-ekonomicznego opisu.

P. *Józef Krzykowski* były sędzia Apelacyjny zamyślił wydawać w oddzielnych arkuszach *Powieści i anegdotki* z pisma humorystycznego *„Fliegende Blätter."* Pierwszy arkusz wyszedł już z druku i zawiera: Przedmowę autora. *„Obrazki wiejskie* przez znanego pisarza *E. M. Vacano*. *„Trzy rady króla Salomona,"* (powieść talmudyczna) i różne anegdotki. Rzecz to niedoniosła, ale nieszkodliwa, a tania, bo tylko 6 kopiejek kosztuje.

„Na początku było słowo, a słowo było projektem, a projekt był słowem." Oto piosenka, która mimowoli przychodzi nam na myśl w obec urodzin każdej zacnej myśli. A ta, którą teraz mamy na uwadze, jest nader utylitarną, bo tyczy się klasy, która stanowi u nas, że tak rzekę, grunt społeczny. Bierzemy się więc do braci rolników i zakładamy dla nich szkoły elementarne i stacyje doświadczalne. Sprawą tą zajmuje się Warsz. Tow. Kredyt. miejskie. Zaoszczędziwszy sporo grosza, pragnie go użyć na cel prawdziwie doniosły. Bardzo to pięknie z jego strony. Oby tylko *słowo stało się ciałem*!

Dowiadując się o jakim nowym pożytecznym projekcie, przywykliśmy już mimowoli zwracać się ku niemu z sercem, niezbyt pełnem nadziei. „Tydzień" donosi że zamożniejsi obywatele miasta Częstochowy powzięli zamiar utworzenia Towarzystwa Kredytowego miejskiego, i wygotowany w tym celu projekt ustawy przedstawili właściwej władzy do zatwierdzenia." Oto zwykła formułka, jaką trąby dziennikarskie witają poczęte dopiero dziecię czynu.

X* zabrał się natychmiast z wielką gorliwością do wyuczenia lejtnanta wierszyka na pamięć.

Lejtnant, jak mógł łamał za panem X* swój język i naginał go do polskiej mowy, znaczenia uczonych go słów nie rozumiejąc. Ale skoro po kilku jeneralnych próbach i pół-godzinnem sroczeniu jak papuga, lejtnant osądził że umie już wszystko doskonale, zerwał się z kanapy i raz jeszcze czule a gorąco, nauczyciela swego do piersi przycisnął mówiąc mu: że nie ma na świecie rzeczy będącej w jego posiadaniu, którejby mu odmówił.

X* oświadczyny te, przyjął z tajemniczym uśmiechem, a gdy kapitan po raz ostatni już, wierszyk cały bez błędu mu powtórzył, i spostrzegli że muzyka ustała a lokaje wnoszą na salony sorbety, X* osądził, iż chwila ta najstosowniejszą jest do popisu kapitana. Otworzywszy zatem spiesznie drzwi od sali tańcującej gdzie wszystkie damy były zebrane, popchnął go lekko na środek, a sam zniknął natychmiast.

Lejtnant, znalazłszy się powtórnie w gronie pięknych dam, śmielszy już teraz bez porównania i doskonale wiersza swego na pamięć wyuczony, wyprostował się najprzód i tryumfalnie spojrzał po zebranych. Poprawiwszy następnie mundur i mocniej zapiąwszy grzebyk na głowie, skwapliwie poskoczył na środek salonu, i schwyciwszy z tacy najbliżej stojącego lokaja, filiżankę z sorbetem, zbliżył się z nią szybko do owej okazałej panny.

Panna zmieszała się w razie, ale widząc przed sobą stojącego w trzeciej pozycyi lejtnanta, szyderczo się uśmiechnęła.

Nie zwracał na to bynajmniej uwagi nasz niczem nie zdetenowany lejtnant cały sobą zajęty, i wśród obudzonej zwłaszcza osobą swoją w salonie ciekawości, cisza głęboka zapanowała dokoła a kapitan stojąc przed panną i trzymając nieszczęśliwą filiżankę w ręku, podał jej takową z uprzedzającą grzecznością i najuprzejmiejszym na jaki zdobyć się mógł ukłonem. A z głębokiem przytem przejęciem następujący wiersz wydeklamował, kładąc odpowiedni cudzoziemski nacisk, na każdą sylabę:

„Nie proszone klupie ciele,
Po co flasłeś na fesele?
Finoś że się zaraz plaźnie,
Po ci tutaj sprawim laźnie!

W czasie deklamacyi, wszyscy w głębokiem natężeniu przysłuchiwali się ciekawie, coby mógł chcieć od owej panny, w zupełności nie znany jej cudzoziemiec.

Ale gdy nareszcie lejtnant skończył swój wierszyk wypowiedziany z precyzyją, oczekując wrażenia, do którego, tem uroczystem głębokiem milczeniem był przygotowany, ona najpierwsza, a za nią wszystkie najbliżej siedzące osoby, głośnym i szyderczym parsknęły śmiechem, który zaraźliwie rozszedł się wkrótce po całym salonie.

Nieszczęśliwy lejtnant zbladł i zgłupiał w pierwszej chwili, a z ogólnego niekorzystnego wrażenia, z łatwością wnioskować mógł, że to on sam stał się niestety powodem tej humorystycznej wesołości i naturalnie głupstwo jakieś popełnić musiał. Śmiech ubliżający mu na domiar nieszczęścia nie tylko nie ustawał na chwilę ale wzmagał się jeszcze nawet od czasu do czasu, pomimo że zebrani usiłowali zachować się w granicach przyzwoitości.

Ober-lejtnant zatem rozgniewany tą niegrzecznością, nie wiedząc nadto czemu takową przypisać, gdyż on jak sądził, najuprzejmiejszy tylko pannie powiedział komplement, szybko wypadł z salonu, szukając wszędzie oczami pana X*.

Nie znalazłszy go wszakże i zły a wściekły, zwrócił się natychmiast do gospodarza i tonem wyrzutu i oburzenia, opowiedział mu w krótkich słowach impertynencyję, jaka za grzeczność jego, w gościnnym tym domu spotkała go. Gospodarz, zajęty był wprawdzie w owej chwili męzkiem towarzystwem swojem w oddzielnym pokoju zebranem i o niczem nie wiedział, ale usłyszawszy użalania lejtnanta, niezwłocznie pospieszył do głównego salonu i wkrótce rzecz cała wyjaśniła się.

Kapitan dowiedziawszy się z ust gospodarza o istotnym powodzie śmiechu, takim zawrzał gniewem, iż chciał natychmiast pana X* wyzwać na pojedynek. Ale, szukaj wiatru po lesie! Pana X* nigdzie już nie było. Popchnąwszy bowiem ober-lejtnanta na salę, zbiegł ze schodów i wskoczywszy na bryczkę, ruszył w świat szeroki!

d. c. n.

O SPOŁECZNEM STANOWISKU I WYCHOWANIU KOBIET.

PRZEZ

Bronisława Trzaskowskiego

Dyrektora Wyższej Szkoły Żeńskiej w Tarnowie.

Nie ma dla społeczeństwa ważniejszej sprawy nad sprawę wychowania. Dzieje, literatura i sztuka, te trzy wielkie koryta, któremi płynie życie ludzkości, to nic innego, jak tylko owoce jej wychowania. Dla tego to u wszystkich oświeconych narodów przeszła kwestyja wychowania z pedagogicznych czasopism do politycznych i religijnych dzienników, ze szczupłych kółek nauczycielskich do wielkich zgromadzeń reprezentantów państw i narodów.

Lecz na rozległym obszarze wychowania jest połowa ziemi, gdzie obok niewielu mniej lub więcej starannie uprawionych dzielnic, reszta leży odłogiem, zarosła chwastem najrozmaitszych uprzedzeń i przesądów. Jestto wychowanie kobiet. Wszystko, co dotychczas o wychowaniu mówiono i pisano, wszystkie na tem polu reformy miały i mają po dziś dzień na względzie jeżeli nie wyłącznie, to głównie i przeważnie płeć męzką. Na wychowanie płci żeńskiej nie zwrócono ani tysiącznej części tej uwagi. Mamy dla młodzieży męzkiej najrozmaitsze szkoły ogólne i specyjalne, od ludowych począwszy aż do uniwersytetów i

---

Satis!... Na bok biczyku ironii, zanadto szafowaliśmy już tobą!

Bezwzględnie jednakże nie można powiedzieć, aby arena czynu była bezpłodną zupełnie na partykularzu naszym. Są miasta, które szybkim krokiem idą za przykładem Warszawy, a niekiedy... o hańbo!... nawet ją wyprzedzają. W każdym razie samo naśladownictwo w rzeczach utylitarnych jest nader chwalebnem.

Do rzędu najruchliwszych miast należy bez zaprzeczenia *Lublin.* W ostatnich czasach przybyła tam jedna pożyteczna bardzo instytucyja, a mianowicie: *Kantor informacyjno-rekomendacyjny zleceń i posłańców publicznych* pod firmą p. *Jana Sierocińskiego.* Tym sposobem miasto zyska wiele udogodnień, których przedtem nie posiadało.

I znowu loteryja fantowa w Ogrodzie Saskim. O biedny męczenniku zabaw dobroczynnych, kiedyż szlachetni filantropi dadzą ci spocząć w spokoju. Udaj się, nieszczęsna ofiaro, pod opiekę nowo organizującego się komitetu, który ma czuwać nad tobą, aby ocalił cię od okrutnych dłoni tych oprawców!

Pogorzelcy prowincyjonalni, równie, jak ubiegłego roku, pukają do miłosiernych serc obywateli i obywatelek nadwiślańskiego grodu. Tak to u nas bywa zazwyczaj. Nie umiemy zapobiedz złemu i później, kiedy złowrogie jego szpony pochwycą już tysiące ofiar, musimy znosić obfity grosz na ołtarz niedoli. Licha ekonomija!... Ale trudna rada! — trzeba ukoić cierpienia nieszczęśliwych!

Ofiary zbierają się dość licznie, ale niestety, nie mogą wystarczyć dla ogromnej masy pogorzelców. Słusznie też zauważyło jedno z pism naszych, że sposób zbierania ofiar przez Redakcyje jest dosyć niepraktycznym. Ci bowiem, którzy bardzo drobne tylko mogą złożyć ofiary wstydzą pokazać się z niemi. A z takich drobnych ofiar olbrzymie zebrałyby się sumy. Tymczasem cały ciężar leży na klasie zamożniejszej, która, jako nieliczna, nie może zadosyć uczynić zbyt wielkiej potrzebie. Otóż pismo to proponuje bardzo słusznie wydelegowanie osób, upoważnionych do zbierania składek po domach. Sposób to bardzo praktyczny i do świetnych doprowadzić może rezultatów.

Tymczasem ofiary płyną z wielu stron. Dyrektorzy teatrzyków ogródkowych urządzili w zeszły piątek przedstawienia na dochód pogorzelców, i publiczność chętnie poparła tak zacne chęci.

Już to Warszawa nasza ma miłosierne serce. Trzeba tylko umieć należycie do niego zapukać!...

akademij technicznych; dla młodzieży żeńskiej mamy tylko szkoły elementarne, a całe wychowanie średnie i wyższe zostawiono pensyjonatom i domowi, które po największej części albo nie chcą, albo nie umieją, albo wreszcie nie mogą poprowadzić wychowania tak, jak tego istotne dobro rodziny, narodu i ludzkości wymaga. Stosunek, w jakim obie płci stoją do społeczności ludzkiej i najwyższych jej celów, może być przedmiotem sporu, ale nigdy *równość* ich wartości; płeć żeńska ma bowiem pod tym względem równą wartość z mezką, a więc i wychowanie jej. Mężowie stanu utyskują na brak równowagi w stosunkach społecznych i politycznych Europy i obawiają się najsmutniejszych tego następstw; my widzimy ten brak równowagi nierównie silniej i groźniej na innem występujący polu—na polu wychowania; a groźniej nie tylko dla tego, że wskutek olbrzymich w ostatnich czasach postępów, coraz głębsza otchłań dzieli niższe warstwy społeczeństwa od wyższych i rodzi coraz większą niechęć i zawiść wzajemną; ale głównie dla tego, że całe wychowanie wzięło jednostronny kierunek, kierunek realno-intelektualny, zaniedbując stronę moralną, estetyczną i religijną. Jakie tego skutki, to widzi każdy myślący i patrzy z trwogą w niedaleką przyszłość. I jak tu zapobiedz grożącej katastrofie? Przy dzisiejszym rwaniu się wszelkiej spójni w podkopanem społeczeństwie, przy dzisiejszej walce zasad, przy dzisiejszych zabiegach materyjalnych i nurtujących całe społeczeństwo rewolucyjach socyjalnych, przy dzisiejszych zwolniałych obyczajach i zachwianych zasadach sprawiedliwości, w dzisiejszem kołysaniu się Europy wśród tylu rozkiełzanych a niepojednanych żywiołów—cóż potrafi społeczność ocalić? Odpowiadamy śmiało, że tylko silnie zorganizowana rodzina, a duszą rodziny jest matka, że głównie kobieta, bo istota jej zwrócona jest ku idealności, ku miłości, ku pojednaniu—a więc głównie podniesienie i racyjonalna reforma wychowania kobiecego, które jako przeważnie na rozwoju sił etycznych, religijnych i estetycznych oparte w szczególniejszy sposób zdolne jest do wprowadzenia i utrzymania równowagi w rozwoju i postępie ludzkości, do pogodzenia realnych interesów powołania z idealnemi dobrami ludzkości.

Ważność i sposób wychowania kobiecego dopiero wtenczas należycie poznamy i ocenimy, jeżeli się jej powołaniu i stanowisku w kole rodzinnem i związku społecznym dokładnie przypatrzymy. Znany to aksyjomat, że pierwszym i głównym przybytkiem wychowania każdego człowieka, a tem samem podstawą powszechnego dobra i szczęścia jest rodzina. Wprawdzie sądzili i sądzą po dziś dzień jeszcze niektórzy politycy, że wychowanie młodego pokolenia zawisło przeważnie od szkoły, i dla tego to żwawe ze strony rządów o supremacyją szkolną walki. Gdyby modła wychowania, jaką rządy stawiają, o losie tych gieneracyj, które im są podległe, rzeczywiście rozstrzygać miała, smutnym i opłakanym byłby stan społeczności. Lecz na szczęście tak nie jest. Znane przysłowie „kto ma szkołę, ten ma przyszłość" zmienilibyśmy raczej tak: kto ma w swem ręku wychowanie młodego pokolenia, ten ma przyszłość; boć nauka szkolna to jeszcze nie całe wychowanie. I gdyby nawet kiedyś do tego przyszło, żeby wszyscy nauczyciele byli oraz wychowawcami, to jednak wpływ ich na młode pokolenie nie będzie nigdy ani wyłączny ani nawet przeważny. Zawsze i wszędzie zależeć będzie powszechny los narodów głównie a przynajmniej w równej części od gorszych lub lepszych wpływów rodziny. Bo wpływ rodziny na dziecko, jakkolwiek najczęściej bezładny i bezwiedny, a nawet nieraz mimowolny, zawsze jednak jest najpierwszy a tem samem najskuteczniejszy i najdonioślejszy. Pierwsze ziarna nauki padają w serce dziecinne w zaciszu domowego, rodzinnego życia, i *stąd* to płyną jakkolwiek nieraz z niedostrzeżonych początków źródła szczęścia i niedoli we wszystkie strony publicznego i prywatnego życia. Tak więc rodzina jest, była i będzie zawsze głównym przybytkiem wychowania człowieka; duszą zaś rodziny jest matka. I po odłączeniu się dziecięcia od jej cielesnego żywota zostaje między niemi najściślejszy związek, jaki tylko na tym bożym świecie między dwiema istotami pomyśleć sobie można. Jest to spostrzeżenie nie jednego człowieka, nie jednego pokolenia, ale spostrzeżenie całych wieków i narodów, że właśnie synowie stają się szczególniejszym sposobem spadkobiercami cielesnego i duchowego usposobienia matek; a kto sam doświadczył, co może miłość i heroizm matki, ten zrozumie, co tylu najznakomitszych ludzi uznało i ogłosiło światu, że to, czem byli, winni pierwszym wychowawczym wpływom swych matek. Jakoż inaczej być nie może. Bo czyż matka, co jest pierwszą karmicielką i towarzyszką dziecięcia, co pierwsza na miękim umyśle jego wyciska obrazy i pojęcia ducha swego, która istotą swoją tak bliską jest dziecięcia—czyż ta matka nie znajdzie i później łatwiej niż ktokolwiek inny drogi do serca i umysłu dziecka swego? Czyż ta, o której tak pięknie mówi poeta, że nawet

W późnej nocy, w sennej ciszy
Oko czuwa, ucho słyszy,
Oko matki, pierś matczyna
Jak stróż anioł strzeże syna;

czyż, mówię, ta matka, mając to dziecko ustawicznie na oku i na sercu, nie zna lepiej natury jego, jego właściwości fizycznych i duchowego usposobienia, niż ktokolwiek inny, a nawet niż sam ojciec, co się zwykle więcej ogólnem doświadczeniem, ogólnemi zasadami, niż szczegółowem spostrzeżeniem w swym o dzieciach sądzie powoduje, a tem samem czyż nie działa matka skuteczniej, niż ktokolwiek inny, na serce i umysł dziecka swego, i to nie tyle oderwanem, zimnem słowem nauki, ale żywym przykładem własnego żywota, gorącem miłości macierzyńskiej, co mu, jak mówi ten sam poeta, i tarczą przeciw złemu, i gwiazdą w pomroku życia, i różczką, co i wtedy, gdy już wszystek liść obleci, na ostatniej już pościeli, jeszcze skon mu rozweseli?

I to jest najpierwsze i najszczytniejsze zadanie kobiety w rodzinie, zadanie i powołanie matki, a dzisiejsze stosunki społeczne uczyniły zadanie to jeszcze ważniejszem. Dawniej był wpływ ojca na wychowanie syna nierównie większy; stan, zajęcie, rzemiosło ojca decydowało stanowczo o przyszłym stanie i zajęciu syna. Dzisiaj, jak z jednej strony wolny wybór przyszłego zawodu, który i niższych stanów dzieciom zostawiamy, zmniejsza znacznie wpływ ojca z pewnych psychologicznych powodów, tak z drugiej postępujący coraz dalej podział pracy i coraz częstsze oddalenie ojca od domu utrudnia mu coraz więcej bezpośrednie i stałe na dzieci swe działanie a w tym samym stosunku rośnie wpływ i obowiązek matki. Nawet te kobiety, których opatrzność nie przeznaczyła na matki, mają to macierzyńskie powołanie; bo komuż, jeżeli nie kobiecym rękom i sercom, powierzona jest pierwsza piecza około cielesnych i duchowych potrzeb dziecięcia?

Jeżeli więc kobieta jako matka tak potężny wpływ na wychowanie młodego pokolenia a tem samem na przyszły los całego narodu wywiera, czyż możemy być obojętni na jej wychowanie? Jeżeli wszyscy niemal wielcy ludzie, jak świadczą dzieje, mieli wielkie matki, czyż nie ma się społeczność odpowiedniem wychowaniem starać o to, aby tych wielkich matek było jak najwięcej?

Po powołaniu matki idzie dla kobiety powołanie żony. Zaszlibyśmy na bardzo rozległe antropologii pole, gdybyśmy wzajemny stosunek obojej płci bliżej rozbierać chcieli. Dosyć będzie, jeżeli powiemy, że ani kobieta ani mężczyzna nie stanowią osobno całego pojęcia człowieka, lecz jedna płeć jest uzupełnieniem drugiej, a mianowicie, zewnętrzną stronę życia zastępuje przeważnie mężczyzna—wewnętrzną kobieta. A ponieważ człowiek składa się z ciała i duszy, uzupełnienie to ma być nietylko fizyczne, ale i duchowe, polegające na harmonii serc i umysłów, na zlaniu się dwóch indywidualności w jednę zbiorową osobistość, co ma być podstawą całego małżeńskiego pożycia. Powiedział ktoś, że dwaj przyjaciele są to niejako jedna dusza w dwóch ciałach. Otóż tak ściśle ma być połączenie małżonków. Bez takiego połączenia, bez takiej harmonii duszy nie ma prawdziwego szczęścia w małżeństwach. Jeżeli jeszcze złączą się z sobą osoby z delikatniejszem wychowaniem, to będą one przynajmniej zachowywać pewne zewnętrzne *decorum*, ale rzetelne szczęście małżeńskie nie zamieszka między nimi. Ta harmonija małżeństwa i z innego względu jest nader ważną i potrzebną. Szczęście familijne, mówi Estkowski, gdzie mąż i żona kochają i szanują się wzajemnie, gdzie wszelkie cnoty domowe bez obłudy się pokazują, gdzie serce bez krępów, gdzie uczucie swobodnie się wylewa, gdzie jakaś powabność, prawość i miłość wszystko ogarnia, szczęście takie, taka harmonija familijna rozsiewa pełną dłonią i w serca dzieci ziarna wszystkich cnót późniejszych. Czem jest ciepło słoneczne dla ziarnka w ziemię wrzuconego, tem w wychowaniu dzieci jest to ciepło domowe. A jak słoneczne ciepło łagodnem drażnieniem w ziarnku życie obudza, tak owo ciepło domowe, owo ciepło harmonii rodzicielskiej wznieca całe nasieniem w dziecięciu utajone życie i wszystkie dobre uczucia i wszystkie umysłowe władze, które człowiek na świat przynosi. W takim domu dziecię jest i rośnie jakby w zaczarowanem miejscu, jakoby otoczone było jakąś lekką pajęczyną, która żadnej przykrości nie

sprawia, a jednak wiąże, wyciskają się na duszy jego same miłe wrażenia, które w duszę dziecka spływają z dobrych przykładów rodzicielskich. Ta niesłyszanemi tonami brzmiąca harmonija w życiu familijnem jest najpotężniejszym środkiem wychowującym; ta harmonija nie rozstraja, owszem dziecięce siły życia spaja, jak siła roślinna spaja listki w pączku; ona wszelkie uczucia i władze i siły dziecka w jeden zlewa zdrój, który wzmaga się, im dalej dziecko w rozwoju swym postępuje. A takiego w harmonii wychowanego, w harmonii rozwiniętego i w harmonii wykształconego człowieka życie zawsze harmonijnem, t. j. wewnętrznie z sobą zgodnem będzie.

Aby zaś takie połączenie nastąpić mogło, musi być u obojga małżonków podobne wykształcenie, a stąd nieodzowna potrzeba, aby kobieta w postępie i oświacie ludzkości pełny udział brała. Bo inaczej, jakżeby mogła wżyć się w duszę męża, jakżeby mogła uzupełniać jego poglądy i pojęcia, wpływać zbawiennie i skutecznie na jego zamiary i czyny, jednem słowem, jakby mogła nastąpić między nimi owa duchowa spójnia, gdyby w ich umysłowem stanowisku, zbyt wielka zachodziła różnica?

d. c. n.

Z wycieczki na wieś.

Upał dokuczał mi w mieście, zapragnąłem odetchnąć świeżem powietrzem i wybrałem się na wieś, na łono błogosławionych naszych pól i lasów ukraińskich.

Ci, co szukają koniecznie wdzięków natury gdzieś daleko, pod niebem Włoch i Szwajcaryi, po większej części łudzą się tylko, jak mi Bóg miły; bo czyż wybrzeża Dniepru, Teterowa, Rosi lub Horynia nie są równie piękne, a nawet i piękniejsze?.. Inny tylko charakter pejzażu, ale urok bywa nieraz równie potężny, a co dla serca, to zawsze milszy. Dalibóg, Bóg nas nie ukrzywdził! Potrzeba mieć tylko uczucie piękna w duszy, miłość swojszczyzny w sercu, a wszędzie znajdą się widoki czarowne i dla malarza i dla poety i dla zwykłego nawet śmiertelnika. Potrzeba tylko umieć wybrać. To rzecz najgłówniejsza. Jakże nieopisanego wdzięku są łąki ukraińskie nad Irdyniem, Taśminą, albo choć nad Irpieniem położone, po których, choćby przez całe tygodnie, mógłbyś sobie polować wybornie na dubelty, chruściele, albo kureczki wodne, idąc wciąż po zielonym kobiercu, w pośród borów, kęp porosłych brzozami i leszczyną, lub spławów z trzciny i taraku. Te błota irdyńskie tak wybornie umiał nam malować, pięknem piórem swojem, nieboszczyk T. Padalica. Zaprawdę można być malarzem, nie władając ani ołówkiem, ani piórem. Zapewne, nie mamy widoków gór, widoków morza lub nieobjętych okiem jezior, ale śmiało to utrzymuję, że nasze lasy i puszcze—to istne cudo! Albo nasze łąki zielone, nasze stepy niezmierzone okiem, nasze błękitne lub srebrne rzeki? Są to takie widoki, jakich nie znajdziemy pewno gdzie indziej, chyba w Ameryce. Woda naprzykład, już samym widokiem swoim orzeźwia, a połyskuje na słońcu jak żywe srebro, jak pas lity naszych pradziadów, na którem błękit ciemny mieni się przepysznie, na przemiany, to złotem, to srebrem! Niedawno jeszcze włóczyłem się po obczyznie; widziałem tam wiele rzek: widziałem Dunaj, Po, Adygę, Arno, Tybr, ów sławny Tybr klasyczny, widziałem Olonę, Inn, Izarę, Elbę, ale patrząc na ich mętną, zielonkawą wodę, jak mi Bóg miły, tęskniłem serdecznie za naszym poważnym Dnieprem, albo za Bohem sinym, co to „po granitach srebrne szarfy snuje" jak prześlicznie wyraził się o nim nasz Antoni Malczewski. Nawet pyszny widok na stary Rzym z Lóż Rafaela w Watykanie, albo ze wschodów *Santa Trinità dei Monti*, nie wydał mi się tak uroczym, żebym sobie nie przypomniał rodzinnego widoku Kijowa, który ze swoich wzgórz wysokich, pogląda zadumany na brzeg starego Dniepru i na dalekie, jakby senne: równiny Małorosyi. Włochy, Włochy! Niewiem jak to było kiedyś — ale dziś kraj ten jakby pusty, bezleśny; wzdłuż Apeninów zielenieją winnice i oto cała roślinność sławnej Italii. Przypomniałem sobie wiersz Wirgilijusza:

Titire tu patule recumbens sub tegmine fagi.
Silvestrem tenui musam meditaris avena!

Zaprawdę, dziś ów Tytyr nie znalazłby zapewne we Włoszech, ani owej uroczej muzy leśnej, ani może cieniu jednego rozłożystego buku!

Śliczne są Wenecyja i Neapol, osobliwie czarującemi są wybrzeża jeziora Garda, ale, wyznam śmiele, że najwięcej czarują tu wszędzie urocze wspomnienia sławnej przeszłości Italii. Co tu najbardziej uderza, to to, że cała fizyjonomija wszystkich miast włoskich jest niedzisiejsza; napróżno Medyjolan buduje modne oszklone galeryje, na wzór passaży paryzkich; te drobne ozdóbki nowej cywilizacyi, tuż koło ślicznej katedry gotyckiej, nie przystają wcale do staroświeckich rysów tego osobliwszego kraju. Ale w kraju tym niemasz nic bardziej staroświeckiego, jak Verona ze swoją areną i posągiem poświęconym pamięci Dantego, starego wieszcza średniowiecznej Italii, który zdaje się stoi tu umyślnie na straży, aby do miasta jego nie wkradło się nic z nowego życia Europy. Ach! skarby Włoch to galeryje, biblijoteki i muzea, jej dzieje sławne wymalowane i wyrzeźbione dłutem, jako nauka dla nowych narodów o potrzebie pracy ducha, o konieczności gromadzenia jego skarbów. Gdzie tu dawna potęga i bogactwo? myślałem sobie nieraz: wszystko to dziś znikło! W kraju *cekinów i florenów* kursują dziś tylko same brudne papierki i miedziaki, a prawdziwe złoto—to skarby myśli i genijuszu artystycznego. Myśl ta wyraziła się nawet na asygnatach włoskich, na których występują portrety ludzi genijuszu, którzy potęgą i gorącem własnego ducha, wykuli naród włoski: Dante, Monti, Cavour. Fizyjonomija Włoch przypomina nieco powierzchowność starego złotego medalu mówiącego nam o dawnej sławie, o wygasłych pokoleniach ludzi i o takim wreszcie duchu czasów, jakiego już dziś niema i jaki się, najpewniej, drugi raz nie powtórzy. Przemysł, handel, pieniądze, owe potęgi naszych czasów, nie były wcale obcemi Włochom. Owszem, duch industryjalizmu i handlu powstał był w wieki średnie na tej właśnie ziemi. Wenecyja, Genua, Florencyja, to były główne serca przemysłu i ruchu pieniężnego owych czasów; ale okoliczności dziejowe przeniosły z czasem centra tego ruchu gdzie indziej na Zachód, i Włochy przybrały dziś na się postać kraju starego, który przeżył się, wyekspensowawszy rychło zapas sił swoich i służy obecnie, i pod tym nawet względem za naukę moralną przedsiębierczym narodom Europy zachodniej. Włochy znały wszystko: przemysł, handel, kunszta, miały one potężny genijusz kunsztu i nauki, a pomimo to przecież zmarniały, może dla tego tylko, że zajmowały się tem wszystkiem, idąc jedynie za popędem serca a nie rozumu. Myśl Bakona „*nauka to potęga*" nie była znaną Włochom; wierzyli oni w potęgę grosza, w potęgę materyjalną, choćby najemnego oręża, i upadły dla tego. Zachód przejął się ową nową zasadą werulamskiego myśliciela i stanął mocno na nogi, idąc naprzód, wsparty niespodzianymi, niesłychanymi wynalazkami nauki zastosowanej do potrzeb mas całych, i jeden Bóg wie tylko, dokąd on zajdzie z czasem, dążąc szybkimi kroki po drodze, którą on sam sobie wytknął w życiu. Dyletantyzm włoski ustąpił miejsca innemu kierunkowi.

Darujcie mi ten ustęp, poświęcony myśli, wyniesiony z podróży po obczyznie. Przyda się on nam do dalszej pogawędki w własnym kraju, który zbiera się dziś z siłami, w tym właśnie celu, aby podążyć za duchem zachodniej Europy—za postępem czasu. Nauczy on nas tego, aby strzedz się dyletantyzmu a brać się do rzeczy *seryjo*, z przygotowaniem się stosownem do pracy, a osobliwie z rozmysłem, a nie spiesząc się. Nigdzie tyle jak u nas nieprzydałoby się przysłowie niemieckie: „*eile mit Weile*", a które Erazm Rotterdamczyk wyraził był w wieku XVI po łacinie: *festina lente*! Długo śmiano się z Niemców, że do wszystkiego zabierają się powoli, *langsam*, a dziś kiedy Europa patrzy na świeże, nieroztrwonione marnie potężne siły Germanii, uśmiech zamiera na przelęknionej twarzy, i w oczach całego Zachodu daje się postrzegać, bojaźń taka, jak gdyby ona patrząc na nowe cesarstwo niemieckie, poglądała na straszliwą głowę Meduzy. Cała tajemnica w tem, że Niemcy nie roztrwoniły marnie drogiego kapitału życia swojego. My również bierzmy przykład od naszych sąsiadów: najprzód bądźmy sobą, a potem umiejmy żyć i używać w miarę sił swoich; nie śpieszmy się, nie starajmy się tak jak w upojeniu narkotykiem *haszyszu* przeżyć całe wieki w jednej chwili: pamiętajmy o tem że, kto prędko żyje ten też rychło umiera. *Festina lente*! pospieszaj powoli!! Żyć jak w gorączce nie jest zaiste symptomatem zdrowia. Bierzmy się trzeźwo do pracy, poświęćmy się najprzód nauce. Weźmy sobie za godło nie owe angielskie: *time is monny*! wyszłe zapewne z jakiegoś warsztatu Birminghama, ale to stare, a tyle głębokie słówko Bakona: *knowledge is power* „nauka to potęga" ale nauka nie dyletancka, nie dla samej zabawki

tylko wzięta, ale nauka głęboka, poważna, nauka uważana jako *dźwignia* duchowa. Zaiste nie masz nic lepszego nad umysł dojrzały, a wsparty gruntowną nauką.

Ale wróćmy do podróży. Wsiadłszy na kolej kijowsko-brzeską jedziesz najpiękniejszym krajem Ukraińskim. Nic cudniejszego jak okolice Berdyczowa! Co to za prześliczne dąbrowy. Stacyja berdyczowska która leży w pośród przecudnej dębiny, i następna stacyja Stowbunowo, przy której rosną grube dęby, jakby naumyślnie w rząd zasadzone, czarują podróżnego. Takie lasy to poezyja, to urok każdej okolicy! Ale jak długo jeszcze będziemy patrzeć na te lasy i cieszyć się niemi? Bodaj czy za lat kilka nie pozostaną one tylko jako osobliwość przy samych jedynie banhofach, służąc im za ogródki! Kolej tu przechodzi przez okolice, zajmujące się cukrownictwem. Tak na Ukrainie, jak i na Wołyniu tną tu niemiłosiernie najpiękniejsze dęby na opał cukrowni; tu i owdzie widzisz już same poręby. Obywatele tak pracują gorliwie nad wytrzebieniem lasów, że nawet nie zostawiają lasu dla siebie, choćby na opał; sprzedają wszystko do cukrowni. Nie raz na te całopalenia idą najpiękniejsze drzewa, nieraz nawet z ojczystego dziedzińca i starego ogrodu. Kiedy razu jednego, siedząc w wagonie objawiłem, z tego powodu, moje podziwienie, ktoś z obecnych powiedział mi na to: ha! panie Dobr.. cóż w tem tak bardzo dziwnego, kiedy fabryki dobrze za to płacą? Wszakże to mówią, że i koszulę by człowiek sprzedał, gdyby mu dobrze za nią zapłacili." Kiedym, nieukontentowany, odwróćił się od mówiącego te słowa, drugi mój sąsiad szepnął mi, z uśmiechem: „Ten jegomość, jak uważam, sprzedałby niezawodnie i swój nos tak potężny, gdyby mu tylko kto zań dobrze zapłacił."

— „Pono i uszy by dał sobie obciąć i czuprynę by swoję poświęcił dla pieniędzy" dorzuciłem od siebie. I myślałby kto może, mówił dalej mój sąsiad, że się obywatele nasi zapomogli temi oto pieniędzmi? Gdzie tam! i lasu niema i zawsze są goli, jak owi święci turceccy. Marnują najniegodziwiej to, co się im po przodkach dostało. A najwięcej to mnie oburza, że nie cenią tego co mają i że wszystko u nich jest do sprzedania. Co innego jest sprzedawać na opał stare brzozy, bo te czas niszczy, a przy staraniu nowe wkrótce odrosną, ale niszczyć drogą dębinę! nawet jesiony i graby, bo to wszystko dziś idzie na opał, to aż serce boli! „O, prawda że serce boli! Bo do czego pytam przyjdzie wkrótce nasz kraj? Czem niezadługo opalać się będą, choćby te same cukrownie?—dodałem z oburzeniem.

— „E! odkryją Panie torfy, węgiel—znowu ozwał się pierwszy. Jużci tak zostać dłużej nie może; muszą koniecznie coś wymyśleć w Europie, chybaby była już wyraźna niełaska na nas P. Boga, żeby tak miało na zawsze pozostać. O! potrzeba Panie Dobr. żyć dziś *z kredką*! Taki już teraz czas nastał! A wreszcie, do czegoż są lasy? czyż na to tylko jedynie, aby patrzeć się na nie?" Po takim argumencie dałem już pokój tej dyskusyi. A przecież jest to rzecz ważna! Nikt dotąd ani pomyśli u nas o gospodarstwie leśnem, o sekcyjach lasów, o porządnem ich użyciu, bez czego nawet największe puszcze zginąć muszą z czasem koniecznie. Już dziś przejedziesz Wołyń, część Litwy, udając się np. na Brześć do Warszawy, a nie ujrzysz już nigdzie owych sławnych niegdyś lasów naszych. Już to prawda, że zawsze u nas nie ceniono należycie drzewa; powtarzano sobie wciąż jednę i też samą niedorzeczną gadkę starą: „nie było nas, był las; nie będzie nas, będzie las." Stało się inaczej przecież: dziś my jeszcze jesteśmy, ale lasów już nie staje. Cukru u nas nie brak wprawdzie, ale pomimo to, niebardzo dziś słodko właścicielom ziemskim. Nikt nie probował nawet sztucznego paliwa, np. tak nazwanego *kirpiczu*, wyrobionego z nawozu i słomy. Może można by było udoskonalić ten rodzaj paliwa. Słoma i trzcina, w niektórych miejscach mogłyby z korzyścią zastąpić drwa. Należałoby myśleć o tem wcześnie, robić próby, wpadać na trop jakiegoś wynalazku, bo już jest tego krzycząca potrzeba.

(d. c. n.)

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ
ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

Ale po nad ślady koni, ślady stóp kobiecych, ślady delikatnych młodych nóżek dziewczęcych i dziecinnych, wleczonych pieszo po tej długiej a uciążliwej drodze, osobliwsze miały dla mnie znaczenie.

Jedna szczególniej, mianowicie z odciśniętych stopek zwróciła moję uwagę, to też co chwila zwracałem ku niej oczy, bo prawie pewny byłem czyja to jest stopka. To ślady bucika Isoliny, mówiłem sobie w duszy i miałem wielkie powody sądzić, że nie mylę się wcale...

Postępowaliśmy wolno, jakem to już był powiedział z obawy, żeby przed czasem nie zobaczył nas nieprzyjaciel. Chciałem koniecznie aby poruszył się z miejsca na którem spoczywał.

Mogliśmy łatwo to zrobić zatrzymując się na chwilę, ale bezczynność nie była mi na rękę, ruch bowiem jakkolwiek nader powolny, rozrywał nieco gniotące mnie smutne myśli.

Chociaż obładowani łupami, Indyjanie dosyć prędko postępowali, a że nic ich nie zmuszało do ostrożności, nie zostawiali po za sobą szpiegów...

Byli teraz na swojem własnem terytoryjum, w samem środku ziemi nad którą panowali, nie mieli więc nikogo kogoby się potrzebowali obawiać. Szli tedy swobodnie bez żadnego strachu.

My przeciwnie musieliśmy mieć się na baczności, posyłać przewodników naprzód, rozpatrywać każdą piędź ziemi, podejrzywać każdy najmniejszy krzaczek, nie zbliżać się do żadnej wyniosłości, bez poprzedniego zrewidowania jej dokoła. Te manewra zabierały nam dużo czasu i opóźniały pochód.

Dopiero po południu dotarliśmy do miejsca na którem znajdował się był obóz indyjski.

Dym nas powiadomił o tem i podszedłszy bliżej, zobaczyliśmy że dzicy już się wydalili.

Zatrzymali się dla posiłku, jak o tem przekonywały poogryzane kości.

Rozpatrywałem się na wszystkie strony, ale tak jak z rana, stary Rube lepsze miał oczy odemnie.

— O ho, a to znowu widzę jakiś bilecik miłosny, rzekł podając mi coś w rękę.

Była to druga kartka wydarta z książki od nabożeństwa.

Pochwyciłem ją spiesznie jak się tego łatwo domyśleć i przeczytałem co następuje:

„Puszczam sobie krew na nowo aby do ciebie napisać. Rada zbiera się dzisiaj wieczór... Za kilka godzin udecydują do kogo mam należeć, czyją będę niewolnicą... O Najświętsza Panno!... Sprobuję uciec jeżeli to będzie możliwem. Ręce mi pozostawiono wolne ale skrępowano nogi. Chciałam rozerwać pęta ale się nie udało... Oh! gdybym miała nóż przy sobie, wiem gdzie go kładą, może mi uda się go pochwycić, ale tego sposobu w ostateczności już tylko sprobuję. Mój Henryku, mam w sobie dosyć odwagi i nie łatwo poddam się rozpaczy. Czy w ten czy w ów sposób muszę się z tego piekła wydobyć... Już idą, trzeba..."

Tak kończył się list tym razem. Straż Isoliny zbliżała się widocznie ku niej, spiesznie zatem ukryła papier, bo był zmięty i porzucony na trawę.

Zatrzymaliśmy się na moment, żeby wypocząć, albo właściwiej żeby dać odpocząć koniom, bo biedne zwierzęta potrzebowały tego bardzo... Szczęśliwym trafem znaleźliśmy tu wodę, trzeba więc było korzystać ze sposobności, która nie takby już prędko nadarzyła się co prawda...

Słońce zaczynało zachodzić kiedy znowu wsiedliśmy na koń i podążyli za wojennym śladem.

ROZDZIAŁ LXXV.

Czerwono-skórzy powracają na ślad.

Ujechaliśmy już blisko dwie mile, poprzedzani jak zwykle przez dwu starych traperów, gdy na raz zauważyliśmy, iż ukryli się oni po za krzakami rosnącemi na małym pagórku.

Zatrzymaliśmy się czekając na rezultat ich obserwacyi.

Z ich postawy, szczególnej ze sposobu w jaki patrzyli z po nad krzaków domyśliliśmy się że mają przed oczami jakiś przedmiot niezwykły.

Zaledwieśmy się zatrzymali, zobaczyliśmy że wychodzą ze swojego schronienia i powracają co sił, dając nam znaki, żebyśmy również pochowali się czemprędzej.

Szczęściem zarośla były niedaleko, poskoczyliśmy więc ku nim galopem zabierając ze sobą konie obudwu strzelców...

Pochyłość pagórka ułatwiała im ucieczkę, schronili się też prawie jednocześnie z nami...

— Co to tam takiego—zapytało na raz kilka głosów?

Zziajani strzelcy odpowiedzieli na to:

— Sza — Czerwono-skórzy, powracają na ślad...

— Wieluż ich jest u dyjabła—zapytał znowu jeden z towarzyszów.

— Idź i porachuj—odpowiedział Rube niechętnie. Niech dyjabli porwą gadułów, im się zdaje, że my mamy tu czas na próżne szczebiotanie. Billu chłopcze trzymaj sznur na pogotowiu, a ty głupi blanbeku opuść karabin do ziemi. Strzały nie na wiele by tu się przydały, ściągnąłbyś nam na łeb tę podłą hałastrę. Billu chłopcze zarzuć arkan na czerwonego, kapitan ci dopomoże bo on zna się na tem, zresztą jak go wy wypuścicie, to mnie się nie wymknie. Słyszycie wy wszyscy inni bracia towarzysze, nie strzelać, niech Bóg broni—jeżeli będzie tego potrzeba to ja się sam załatwię. Na Bóg żywy niech mi który głupstwa nie zrobi, chyba że ja chybię... Czyś gotów już ze sznurem Billu i ty mój młody przyjacielu. No tak to dobrze... Uważajcie dobrze i złapcie mi tego przeklętego łotra w zasadzkę jak królika, lizie szelma prosto w pułapkę.

Wszystkie te polecenia ze wszystkiemi szczegółami były wypowiedziane prędzej, aniżeli potrzeba czasu do przeczytania ich teraz.

Prawie jednocześnie zobaczyłem też po za wyniosłością głowę i ramiona dzikiego.

W parę sekund zobaczyłem go całego dokładnie wraz z jego dużym koniem srokatym...

Nie ma potrzeby, dodawać, że koń leciał galopem bo rzadko kiedy indyjanin jeździ inaczej...

Był tylko jeden—tak nas przynajmniej zapewniali przewodnicy.

Po za pagórkiem rozciągał się step otwarty, gdyby więc Indyjanin miał towarzyszów albo jakąkolwiek świtę, bylibyśmy to zobaczyli z wierzchołka góry.

Był sam jeden...

Jechał nie obawiając się niczego, bez żadnej ostrożności, przewodnik byłby się inaczej urządzał...

Któż to być może?... może to wysłaniec jakiś, ale z pewnością Indyjanie nie pozostawili oddziału po za sobą.

Takie pytanie zamienialiśmy prędko pomiędzy sobą a Kanadyjczyk dał nam wyjaśnienie najprawdopodobniejsze.

— Najprędzej on po swój puklerz tu wraca.

— Po puklerz? po jaki puklerz?...

— Jakto czyż go nie widzicie? ja go już dawno spostrzegłem przecie... Spojrzyjcie tylko a toć to ogromny puklerz, ogromny, zrobiony ze skóry bawoła ba i w dodatku jak pięknie przyozdobiony świeżo zdartemi, bo krwawiącemi jeszcze skórami z głów meksykańskich... Brru... aż mi się zimno robi...

Na tem wyjaśnieniu poprzestaliśmy wszyscy. Leblane spostrzegł puklerz, pomiędzy krzakami, w miejscu w którem zatrzymaliśmy się, a puklerz ten pozostawił tu rzeczywiście jeden z dzikich bandytów i wracał po niego.

Nie mieliśmy czasu mówić więcej i oddawać się nowym przypuszczeniom, czerwony jeździec dojechał do stóp pagórka, dziesięć minut jeszcze, a dostaniemy go w swoje objęcia.

Bill i ja zajeliśmy pozycyje po obu stronach drogi ze zwiniętym przygotowanym do rzutu arkanem.

Traper był mistrzem w używaniu tej dziwnej zbroi, ja także znałem się z tem trochę.

Drzewa znajdujące się na drodze mogłyby nam przeszkodzić w dostatecznem rozwinięciu arkanu, to też postanowiliśmy wyskoczyć na raz z zarośli, skoro tylko Indyjanin zbliży się na właściwą odległość...

Rube ukryty był za Gareyem z karabinem w ręku a szeregowcy byli gotowi na wypadek, gdyby chybiły nasze dwa sznury i strzał starego Ruba.

Było by ma się rozumieć rzeczą bardzo niebezpieczną, pozwolić Indyjaninowi minąć zarośla albo zawrócić z powrotem, bo w obudwu tych wypadkach zdradziłby naszę tutaj obecność.

Nie można zatem ani mu pozwalać pojechać dalej ani powrócić do swoich, czyli że potrzeba go złapać żywcem albo zabić.

Co do mnie życzyłem sobie żeby był schwytany. Nie miałem chęci pozbawiać życia dzikiego i gdyby nie to, że go schwytać było potrzeba dla większego naszego bezpieczeństwa, byłbym go chętnie puścił na złamanie karku.

Większość moich towarzyszów była innego zdania. W ich przekonaniu nie było różnicy pomiędzy zabiciem dzikiego a zabiciem wilka, pantery lub niedźwiedzia i nie przez litość bynajmniej Rube zakazał strzelać wszystkim innym. Ten rozkaz to poprostu tylko przezorność bo huk kilku naraz karabinów można było posłyszeć z daleka.

Podczas kiedy się zbliżał indyjanin, śledziłem go z po za liści.

Mina to była tęga co się nazywa, prawdopodobnie więc był to jeden z najdzielniejszych wojowników. Co do wyrazu twarzy, tego rozpoznać nie mogłem, bo zeszpeconym był obrzydliwemi malowidłami, ale był to mężczyzna wysoki, z piersiami szerokiemi dobrze rozwiniętemi, nogi miał proporcyjonalne i zgrabne, a na koniu jeździł wybornie.

Brakło mi zresztą czasu na dalsze obserwacyje, bo w tej chwili zbliżył się ku nam nic zgoła nie przeczuwając.

Wyskoczyłem z zarośli, wywinąłem arkanem nad głową, rzuciłem go i zobaczyłem jak węzeł okrągły padł mu na ramiona i zsunął się na krzyż następnie.

Spiąłem potem natychmiast konia, skoczyłem w przeciwną stronę i po zwykłem targnięciu i wyprężeniu sznura, poczułem że trzymam już w swojej mocy ofiarę.

Obróciłem się na siodle żeby spojrzeć po za siebie i zobaczyłem znów arkan Gareya zarzucony na szyję koniowi i silnie zaciśnięty.

Koń i jeździec należeli już do nas!..

ROZDZIAŁ LXXVI.

Mój plan.

Dziki nie poddał się nam bez oporu.

Rzucił się owszem z konia wydobył nóż i jednem cięciem zniszczył krępujące go więzy...

Jeszcze sekunda a umknął by w krzaki, zanim jednak zdołał się poruszyć, sześć silnych pięści rzuciło się na niego i chociaż szarpał się ze wściekłością, powalono go na wpół zduszonego i zdołano przytrzymać mimo nawet niebezpiecznych razów które zadawał długim hiszpańskim nożem.

Moi towarzysze chcieli pozbyć go się co prędzej i powyciągali pałasze chcąc go zarąbać na miejscu.

Nie życzyłem sobie atoli przelewać krwi człowieka i dzięki mojemu wstawiennictwu pozostawiono go przy życiu.

Jednakże żeby sobie nowej nie narobić biedy, poleciłem przywiązać go do drzewa w taki sposób iżby nam żadnej już krzywdy nie był w stanie uczynić.

Stanfield to wyjadacz leśny podał na to sposób bardzo prosty a najzupełniej pewny.

Wybrano oto drzewo którego pień był za gruby ażeby Indyjanin mógł go objąć zupełnie, z rzemienia surowcowego zrobiono kajdanki i te założono mu na wyciągnięte w półkole ręce, następnie opuszczono pasek do nóg i na te również nałożono więzy podobne, przestrzeń między rękami i nogami okręcono rodzajem sznura a jego końce przymocowano do palików umocowanych w ziemi.

Węzeł był arcydziełem w swoim rodzaju, i najdoświadczeńszy wytrychista nie poradził by z nim sobie...

Mieliśmy zamiar pozostawić go w tym stanie, a nawet oswobodzić go za powrotem, jeżeli rzecz prosta powracać będziemy tą samą drogą: co było dosyć przecież wątpliwe.

Anim pomyślał w tej chwili o okrucień stwie jakiegośmy się dopuścili.

Oszczędziliśmy Indyjanowi życie a że za nadto byłem w tej chwili zajęty losem droższych mi osób, zdawało mi się, iześmy mu wyświadczyli łaskę nielada.

Dla ostrożności umieściliśmy go w pewnej odległości od miejsca w któr em został ujęty, bo mogli za nim przybyć inni ludzie i odkryć go wcześniej niż tego nasz plan wymagał.

Na miejsce uwięzienia wybrano polankę w głębi lasu, skąd krzyki nawet, nie mogły dojść do przechodzących po drodze.

Zresztą nie pozostawiono więźnia w samotności, bo koń miał mu dotrzymywać towarzystwa tylko nie koń jego własny bo jednemu z szeregowców przyszła chętka zamiany.

Stanfield który teraz miał nie tęgą szkapę zaproponował handel, mały handelek jak mówił żartobliwie, mały interesik którego biedny dziki nie był w stanie odrzucić i przywiązał do jednego z drzew swojego charłaka upadającego ze znużenia i starości a zabrał natomiast komanczuka.

Mieliśmy już ruszać w dalszą drogę gdy świetna myśl przyszła mi do głowy. Pomyślałem sobie że i ja mogę zrobić korzystną z więźniem naszym zamianę, zamianę nie na konia już uchowaj Boże, ale po prostu na nasze własne skóry!

Jak już wspomniałem miałem przygotowany plan oswobodzenia narzeczonej, plan jaki podczas nocy wymarzyłem był sobie, a jaki podczas drogi dojrzał zupełnie w moim umyśle.

Ostatni wypadek wywołał znowu we mnie cały szereg nowych myśli a jedna też myśl szczególnie zakręciła mi w głowie.

Teraz w zupełnie już innem świetle wydało mi się schwytanie dzikiego którego obawiałem się z początku; teraz uważałem to zdarzenie za szczęśliwą bardzo okoliczność, za szczęśliwą na mnie łaskę nieba.

Mój plan był zresztą bardzo prosty, wymagał on więcej odwagi jak podstępów, a czułem że odwaga mnie nie opuści w okolicznościach w jakich się znajdowałem. Umyśliłem oto sobie dostać się cichaczem w nocy do obozu indyjskiego pod osłoną ciemności, odszukać Isolinę i uciekać z nią na los szczęścia. Abym tylko zdołał dostać się do niej wszystko zresztą byłoby już łatwiej.

Decydować się na przyjęcie bitwy mając tak małą garstkę ludzi, zaatakować obóz indyjski chociażby też w chwili w którejby tego najmniej się spodziewano, byłoby zawsze czystem szaleństwem... Rezultat zawsze byłby jeden, byłaby mianowicie zupełna nasza porażka i stracenie raz na zawsze nadziei oswobodzenia nieszczęsnej niewolnicy. Wrazie alarmu dzicy mający się na baczności, umkną przed naszą pogonią.

Moi towarzysze przyznali, że nierozsądnem by było rozpoczynanie takiego ataku a jednak gdybym wydał tylko rozkaz, byliby wszyscy rzucili się chętnie w pośród nieprzyjaciół.

Niektórzy domagali się usilnie iść zemną do obozu dzikich i dzielić niebezpieczeństwa aż do końca, ale dla wielu względów postanowiłem sam siebie ryzykować tylko.

Obecność żołnierzy mogła plan mój narazić bo tu przebiegłości raczej jak siły potrzeba było aby skutek osiągnąć.

Nie ma co o tem mówić abym myślał, że uda mi się porwać niewolnicę nie będąc spostrzeżonym i ściganym, boć musiała być zanadto dobrze pilnowaną a przytem strzegły ją jeszcze Argusowe oczy dwóch zazdrosnych rywalów.

Spodziewałem się zażartej pogoni, prawdziwej walki na szybkość, ale nogom swoim ufałem.

Zdawało mi się, że potrafię utrzymać zdala od siebie tych łotrów, że im się nawet opędzać potrafię.

W tym celu postanowiłem zabrać nóż myśliwski i rewolwery. Rachowałem na tę broń jak również na szczęśliwy przypadek albo otwarciej powiedziawszy rachowałem na łaskę Bożą.

Moja sprawa była sprawiedliwą, serce pełne postanowienia.

Musiałem jeszcze przedsięwziąć inne środki ostrożności, mianowicie przygotować o ile można najbliżej konie i ludzi z bronią w ręku gotowych do natarcia albo ułatwienia ucieczki.

Od wykonania projektu zależało moje życie albo śmierć, bo w razie niepowodzenia sambym nie chciał już męczyć się dłużej na świecie.

ROZDZIAŁ LXXVII.

Malowidło na sposób indyjski.

W miarę jednak jak uważniej rozpatrywałem te rzeczy, przyszłość rozjaśniała się nieco i skutek wydawał mi się mniej problematycznym.

Najgłówniejszą było trudnością chwytnięcie języka, jakimby sposobem dostać się w środek obozu.

Raz tam wlazłszy będę zupełnie bezpiecznym. Wiedziałem o tem z doświadczenia, bo nie pierwsza to byłaby wizyta w obozie stepowym Indyjan.

W pośród dzikich, nie wystawiając się na światło ogni nocnych, będę prawie pewnym siebie a przynajmniej stokroć pewniejszym jak w czasie przedzierania się przez ich szeregi, gdy potrzeba przechodzić koło pikiet zewnętrznych ludzkich i końskich, a koń indyjski nie jest szyldwachem do pogardzenia. Zawzięty jak jego pan nieprzyjaciel białego, nie da się do siebie zbliżyć, bądź z obawy bądź przez antypatyją prawdziwą. Człowiek na straży może się zaniedbać może się zdrzemnąć na swoim posterunku, koń nigdy. Poczuwszy węchem białego poczyna rżeć z całych sił tak iż cały obóz musi się zerwać na nogi. Nie jeden też dobrze uorganizowany nie udał się atak, dzięki tylko szyldwachowi koni.

Nie można powiedzieć aby koń stepowy czuł dla indyjanina szczególne jakieś przywiązanie, byłoby to nawet nienaturalną rzeczą, bo nie ma większego nadeń tyrana dla rasy końskiej, nikt nie obchodzi się z niemi tak srogo tak nielitościwie jak czerwono-skóry.

Jest to więc po prostu skutek wierności, jaką szlachetne zwierzę okazuje zawsze dla swojego towarzysza, dla swojego pana, bez względu na jego kolor.

Położenie moje byłoby daleko gorsze gdyby się psy znalazły w obozie. Te sprytne stworzenia poznałyby we mnie nieprzyjaciela, a przebranie nie zabezpieczyło by mnie przed ich węchem. Pies dzikiego potrafi wybornie rozróżnić białego od czerwono-skórego a zdaje się uczuwać prawdziwą nienawiść do rasy celtyckiej i saksońskiej. Nawet podczas zawieszenia broni jeżeli człowiek biały dostanie się do obozu jakiego indyjskiego plemienia, prawie go trudno obronić od zajadłej psiej zgrai.

Wiedziałem jednak że Komanszowie nie mieli ich ze sobą, bo nie odkryliśmy nigdzie ani jednego śladu po drodze.

Dzicy szli za wojennym śladem a wybierając się w podobną wyprawę, zostawiali zawsze psy w domu przy kobietach. Zwyczaj to którego w takich jak ja okolicznościach, nie mogłem się dosyć nachwalić.

Potrzebowałem się przebrać boć szaleństwem by było postąpić inaczej... Mój mundur byłby mnie zdradził podczas najczarniejszej nocy a tymczasem poszukując niewolnicy trzeba się będzie wcisnąć do środka koła, oświetlonego ogniskami.

Postanowiłem zatem zabrać się do urządzenia sobie kostyjumu indyjskiego i rozmyślałem dosyć długo nad tem w jaki sposób wziąć się do tego. To też ucieszyłem się bardzo znalazłszy skórę bawolą, bo już coś znaczyła do mojego przebrania, ale brakowało mi innych przedmiotów: kamaszy, obuwia, nakrycia głowy z piór i ozdób na szyję, długich pukli włosów koloru bronzowego i twarzy pomalowanej białą kredą, węglem i czerwonym cynobrem. Skąd wziąść tego wszystkiego.

W chwili zamieszania jakie nastąpiło przy ujęciu naszego dzikiego, myślałem zupełnie o czem innem, i w chwili dopiero kiedyśmy mieli oddalić się od niego, przyszła mi myśl, że to on mógł mi właśnie dostarczyć wszystkiego.

Powróciłem żeby obejrzeć jego osobę.

Zeszedłem z konia i przypatrywałem mu się od stóp do głowy.

Z jakąż radością oczy moje zatrzymały się na jego kamaszach ze skóry daniela, na jego obuwiu wyszywanem perłami, na jego naszyjniku z kłów dzika, na jego piórach orlich pofarbowanych krwią, i na płaszczu ze skóry tygrysa, który okrywał mu ramiona.

Gdyby nie niebezpieczna misyja jaka nas tu sprowadziła, ostatnia ozdoba byłaby już dawno odebrana właścicielowi. Moi towarzysze patrzeli na nią pożądliwym wzrokiem, nie jeden miałby ją posiąść ochotę, ale oczekiwanie przyszłego niebezpieczeństwa, odejmowało chęć rabunku i wspaniały płaszcz wojenny pozostał na ramionach niewolnika. Co do mnie pomieniałem się z nim tylko, bom mu oddał skórę bawolę i buty swoje wzamian za obuwie jego oszyte zamiast frendzlą włosami ludzkiemi. Na szczęście obuwie to pasowało na mnie zupełnie.

Pozostawało jeszcze tylko jedno aby się przerobić na prawdziwego Indyjanina.

Na szlaku wojennym Komanszowie bywają nadzy do pasa i nie noszą koszul czyli tunik których używają jedynie udając się na polowanie.

Jak udać tę skórę miedzianą, te ramiona, te ręce, te piersi pokreślone i tę twarz trój-kolorową, białą, czerwoną i czarną. Tylko malowidło mogło mi przyjść z pomocą ale gdzie szukać malowidła.

— Ba!—zawołał Rube trzymając w ręku skórę wilczą artystycznie ozdobioną perłami i piórami. Torba naszego Indyjanina. — Ba! ja myślę, że znajdziemy wszystkie materyjały w podróżnej jego torbie, oto cała rzecz! Rube zagłębił rękę w haftowaną torbę i wyciągnął z niej z tryumfem różne paczki skórzane, które sądząc po plamach jakie miały po sobie zawierały widocznie ingredyjencyje różnych kolorów, wyciągnął także mały przedmiot błyszczący, lusterko.

Ani strzelcy ani ja nie zdziwiliśmy się znajdując tę dziwaczną kolekcyją w podobnem miejscu, tam to naturalnie musieliśmy szukać podobnych przedmiotów, bo rzadko w czasie pokoju a nigdy w czasie wojny jeździec indyjski nie wydala się z wioski bez farb i lusterka.

Kolory odpowiadały zupełnie tym jakie błyszczały na twarzy rycerza.

Moje wąsy zniknęły w mgnieniu oka, wystaraliśmy się o trochę tłustości do roztarcia farb a następnie ustawiono mnie naprzeciw Indyjanina i poczęto zdejmować z niego portret.

Malarzem był Rube.
Kawałek skóry daniela służył mu za pędzel a szeroka dłoń Gareya za paletę.

d. c. n.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Przygody panów Marką i Agapita podczas wystawy rolniczej w Warszawie, opisał Jordan, autor „Wędrówek Delegata.“ Dwie części w jednym tomie. Warszawa. Drukiem Józefa Ungra. 1875 r. str. 340 in 8-o.

Najtrudniejszą rzeczą w sferze twórczości powieściopisarskiej jest pochwycić wydatne objawy życia i skreślić typy, pełne prawdy i naturalności. Badawcza obserwacyja życia i umiejętność pochwycenia wybitnych jego cech i zjawisk jest tu najlepszą rękojmią udatności.

Tymczasem współcześni twórcy nasi idą niekiedy inną zupełnie drogą i albo narzucają pewnej postaci mrzonki i myślątka własnego ducha, albo też obok nich uwydatniają cechy, które dawno już przestały pojawiać się w życiu. Czyni to przedstawiane typy nienaturalnymi i anachronicznymi.

Do tego rodzaju utworów należą i „Przygody panów Marka i Agapita.“ Autorowi szło przedewszystkiem o dosadność rysunku, o jak najjaskrawsze jego barwy. Dla skreślenia komicznych i oryginalnych sytuacyj poświęca on często prawdę życiową. Typy panów Marka i Agapita to anachronizmy, które nie oglądają już światła wieku naszego. Gdyby nawet podobne osobistości zakonserwowały się gdzie w jakim zabitym od reszty świata deskami zakątku, nie możnaby im nadawać znaczenia typów społecznych.

Bohaterowie szkicu przedstawiają się nam z samego początku, jako strasznie skarykaturowane oryginały, a pod względem psychicznym przedstawiają dwa kontrasty duchowości. Pan Marek to szlachcic ruchliwy, żywego i popędliwego temperamentu. Człowiek ten nie może wysiedzieć na miejscu, wiecznieby tylko podróżował po świecie. Skąd więc ten anachronizm typowości, zdolny zakonserwować się tylko w zamkniętem zupełnie życiu wiejskiego zacisza?.. Przytem tego rodzaju temperamenta wpływają zbawiennie na rozwój umysłu, gdyż, pchając na szerszy zakres życia, dają poznać lepiej jego zjawiska. Darowalibyśmy zresztą autorowi pewne cechy staroszlacheckie, któremi obdarzył p. Marka. Ale zrobić zeń podobnie skarykaturowanego niedołęgę, to trochę za wiele.

Pan Agapit przedstawia odmienne zupełnie cechy psychiczne. Powolny i łagodny to człowieczyna, zaśniedziały w domowej pleśni. Nienawidzi wędrówek, lubi życie domowe i wszelkie wygódki. Obdarzył go też autor jednym jeszcze przymiotem. Oto bohater nasz ma strasznie zajęczą naturę. Czyż to jest przymiot staroszlachecki? Broń Boże!—Autor potrzebował go tylko dla zaznaczenia kontrastu z panem Markiem i dla wyprowadzenia pewnych efekcików powszedniej wartości.

Wogóle, przypatrzywszy się bliżej tym postaciom, trudno określić właściwe ich znaczenie. Jako typom przeszłości brakuje im wielu niezbędnych cech. Przytem autor nie myślał bynajmniej nadawać im tego znaczenia, albowiem każe bohaterom swoim żyć w roku pańskim 1872 i przyjeżdżać na wystawę rolniczą do Warszawy. Dalej, szukajmy wątku, uwydatniającego bliżej cel autora. Może p. Jordan chciał nam pokazać jakieś zapleśniałe unikaty, skarłowaciałe typy przeszłości? I to nie!... Powinienby bowiem w takim razie przeciwstawić ich innym świeższym postaciom życia szlacheckiego. Przytem w ogóle z treści całego utworu widać, że autor miał tu na myśli jeżeli nie ogólnie szlachecką typowość, to przynajmniej charakterystykę pewnej części tej warstwy społecznej i był w tem błogiem przekonaniu, że podobne panom Markom i Agapitom osobistości stanowią większość obywateli ziemskich. W końcu nawet uprasza przyszły komitet (notabene, jeżeli Warszawa będzie jeszcze oglądała drugą wystawę rolniczą), aby pomyślał o losie tych przybyszów z odległych okolic kraju, którzy w nieznanem sobie mieście oddawani bywają na pastwę wszelkiego rodzaju wyzyskiwaczom. Nie sądzimy, aby dla jakich tam wyjątkowych unikatów żądał autor osobnych urządzeń. Widocznie więc miał nadzieję, że spora liczba podobnego rodzaju indywiduów zawita do Warszawy. Miła perspektywa! A wiecie też czytelnicy, czego potrzeba dla panów Marków i Agapitów. Oto należałoby wydelegować dla nich jakie specyjalne indywiduum, któreby, wziąwszy pod rękę szanownych jegomościów, oprowadzało ich po mieście, nie opuszczając ani na chwilę, prowadziło ich na śniadania, obiady i kolacyje, targowało się za nich u krawca, szewca, kapelusznika i w ogóle na każdym kroku odpędzało niegodnych wyzyskiwaczy od kieszeni braci szlachty, Mało tego! Potrzebnem jest drugie również specyjalnie wydelegowane indywiduum, aby przywiozło ich do Warszawy, aby objaśniło pana Agapita, że nie wypada brać z sobą jajowatego koczobryka, który tylko tysiące kłopotów przysporzyć może, aby następnie pilnowało poczciwą szlachtę i jej służbę, iżby zasnąwszy snem błogosławionych nie zabłąkali się i nie zmuszeni byli prosić na przewodnika tchórzliwego niemca, który ich wziął za złodziei (sic!). Dalej indywiduum to powinno było objaśnić szan. sąsiadom, że bilety jazdy trzeba mieć przy sobie, gdyż można się narazić na niemiłe ekscesa. Następnie powinnoby było pocieszać pana Marka, strapionego srodze po rozłące z przyjacielem, objaśnić mu, w jaki sposób telegrafuje się na przyjaciela, aby się zatrzymał na banhofie w Warszawie aż do jego przybycia. Bo trzeba wam wiedzieć, że panowie Marek i Agapit pierwszy raz w życiu jeździli koleją, która była dla nich zupełnie nowem zjawiskiem (sic!). Nic więc dziwnego, że p. Agapit, pocieszywszy się po stracie przyjaciela, ze spokojnem sumieniem usnął sobie biedaczysko i obudził się dopiero w remizie lokomotyw w Skierniewicach, skąd wygramoliwszy się, odnalazł swoję zgubę i razem już z sąsiadem pospieszył do Warszawy. Słowem panowie ci mieli tysiące naciąganych przygód, od których ochronićby je mogło tylko specyjalnie wydelegowane do tego indywiduum.

Przypatrzmy się też, co robią w Warszawie nasi przyjaciele. Autor przysiągł się widocznie skazać swych bohaterów na ciągłe przygody. Wziąwszy z banhofu kolei Warszawsko-Wiedeńskiej dorożkę do hotelu Warszawsko-Wiedeńskiego, o kilkanaście zaledwie kroków odległego, po długiej przejażdżce wokoło miasta, którą urządził im dowcipny dorożkarz, przybyli wreszcie na miejsce przeznaczenia. Ale oto bezczelny fagas żąda za nędzny N-er na 2-em piętrze 5 rs. za dobę. Trzeba więc szukać dalej. Panowie Marek i Agapit słyszeli w drodze o drożyznie w pierwszorzędnych hotelach. Są jednakże do tego stopnia naiwni, że pozwalają się wieźć do najświetniejszych w nadziei, że znajdą tam tańsze pomieszczenie. Widzimy więc, że autor zbyt po macoszemu obchodzi się z zasobami umysłowości swoich bohaterów, gdyż pozbawia ich nawet prostej zdrowej logiki. Ale idźmy dalej!... Nie znalazłszy nigdzie schronienia, wracają jak niepyszni na pierwsze miejsce. Tymczasem przez tak krótki czas *locum* zdrożało podwójnie. Trzeba się jednakże było zgodzić ze smutną koniecznością.

Następny dzień był również niefortunnym. Pan Agapit zapomniał o swoim koczobryku, który został na kolei. Trzeba go odebrać. Ale w jaki sposób, kiedy kupony pozostały u towarzysza podróży Niemca. Na pocieszenie strapionych zjawia się anioł opiekuńczy, który w tak jasny a niegodziwy sposób wyzyskuje biedne ofiary, że tylko p. Jordan mógł pozwolić na podobne niedołęztwo swych bohaterów.

Cały dalszy pobyt braci szlachty w Warszawie był szeregiem nieszczęsnych wypadków, które wysączywszy należycie ich kieszenie, zmusiły wreszcie do porzucenia z przekleństwem na ustach tej niby jaskini łotrów. Tak się w samej rzeczy przedstawia Warszawa w powieści p. Jordana. Prosty omnibusiarz staje się okrutnym zdziercą, aprobowanym nawet przez władzę policyjną.

Widzimy więc, że typy, które przedstawił nam p. Jordan, są to nienaturalne karykatury, które w naciąganych po większej części sytuacyjach uwydatniają prostoduszność i naiwność, dochodzącą prawie do idijotyzmu. Oto przymioty, którymi obdarzył p. Jordan pewną część szlachty naszej.

Podobno utwór p, J. ma być wkrótce przełożony na jeden z obcych języków. Ślicznie rzeczywiście zarekomenduje autor jednę z podstawowych sfer społeczeństwa naszego. Kierując się fałszywem pojęciem o życiu, mimowoli ciężką krzywdę społeczeństwu swemu wyrządza. Dzięki Bogu, światło XIX wieku opromieniło już w znacznej części i wiejskie zacisza nasze. Zakonserwowało się tam wprawdzie wiele przesądów, na drodze prawdziwego rozwoju i inteligencyi zaledwie pierwsze stawiają się kroki. Ale mimo to szlachta nasza idzie już naprzód i za innymi niezbyt daleko w tyle pospiesza. Potrzeba wielu reform obyczajowych, społecznych i ekonomicznych jasno się tam uwydatnia, ale czyż i inne sfery ich nie oczekują?..

Skreślenie fałszywych a tak wybitnie pesymistycznych rysów społeczeństwa naszego, ciężkim błędem leży na literackiem sumieniu

p. Jordana. Gdyby nawet podobne rysy obok innych jaśniejszych nieco, rzeczywiście w życiu istniały, należałoby i te ostatnie uwydatnić. Ale dobierać umyślnie najciemniejszych barw do skreślania własnego społeczeństwa, jest grzechem, wołającym o srogą pomstę do opinii ogółu i krytyki literackiej.

Wykazawszy jednakże tę kardynalną wadę utworu, nie myślimy tu odmawiać autorowi rzeczywistych zdolności powieściopisarskich. Przyznajemy je chętnie i to nie małe. Barwność rysunku, dowcip i werwa, charakterystyka aczkolwiek spaczona ale dziwnie dosadna, słowem wiele cennych przymiotów odbija się w skarykaturowanej całości. Niektóre drugorzędne typy skreślone są nader zręcznie i umiejętnie. Więcej tylko prawdy życiowej i naturalności, a cenne przymioty, jakie bez zaprzeczenia pióro p. Jordana posiada, uwydatnią się w całym blasku swoim. A są one nie małej wartości, jeżeli w podobnie spaczonym utworze dosyć jasno się uwydatniają.

A. Pilecki.

GOSPODARSTWO i Przemysł domowy.

Konfitury z malin. Maliny obrać i oczyścić jak najstaranniej, zalać arakiem i odcedzić. Z dwóch funtów cukru syrop ugotować, licząc na jeden funt malin i gotować w nim pod przykryciem w powyższy sposób przyrządzone maliny przez dwadzieścia minut.

Szczupaki. Oczyścić rybę starannie i posolić solą prażoną, upiec kilka białych cebul gdy ryba dobrze nasłonieje, pokrajać cebule w drobne cienkie talarki, dodać trzy łyżki młodego masła, dusić w rondlu na wolnym ogniu i bardzo krótko aby się szczupak nie rozleciał, a na dziesięć minut przed wydaniem na stół, wlać duży kieliszek dobrego wina francuzkiego.

Polewka dla dzieci z przepisu Liebiga. Jedną z najpożywniejszych substancyj przeznaczonych dla ludzi jest mleko, jako zawierające w sobie wszystkie składniki z których urabia się i odnawia bezustannie nasze ciało. Mleko jednakże zbierane, zwłaszcza sprzedawane na rynkach, rzadko kiedy zawiera więcej jak 11% materyi stałych, to jest 4% sera, 4,5% cukru, 2,5% tłuszczu. Dla podniesienia jego pożywnych wartości Liebig przepisuje następną polewkę, mogącą nawet zastąpić mleko matczynę, które jest naturalnym pokarmem niemowlęcia.

Dziesięć części mleka krowiego, jedną część mąki słodowej umieszać i przegotować, dając polewkę nader zbliżoną w pożywności do mleka kobiecego. Że zaś tak mąka pszenna jako i słodowa, zawierają w sobie daleko mniej alkalijów niż mleko kobiece, brak ten przeto uzupełnia się przy wyrabianiu polewki, dodając siedm i ćwierć grana dwuwęglanu potażu lub trzydziestu kropli czyli trzy gramy roztworu zwyczajnego węglanu potażu. Tym sposobem zobojętnia się dostatecznie reakcyja obudwu gatunków mąki.

Powyższa polewka nietylko niemowlętom zastępuje mleko matczyne, ale nawet z korzyścią i starszym może być dawaną, gdyż mąka słodowa zawiera jedenaście procent materyj krew zasilających, z których jednak tylko siedm części rozpuszcza się w tej polewce. Samo z siebie wynika, iż karmiąc nią dzieci, wypada przedewszystkiem sztucznem ogrzewaniem doprowadzić do naturalnego stopnia ciepła.

Ciasto francuzkie. Masła funt jeden zamoczyć na noc w wodzie, nazajutrz wyjąć z wody, osączyć i wygnieść rękami. Mąki funt rozsypać na stolnicy, zrobić w niej dołek, wbić dwa żółtka i włożyć kawałek masła wielkości kurzego jaja, wody kwaterkę wlać, wymieszać razem, ciasto dobrze wygnieść, zrobić z tego bułeczkę, przykryć serwetą i niech tak trochę poleży. Potem rozwałkować ciasto na cal grubości, masło wyjęte z wody wyrobić i wygnieść rękami doskonale, zrobić z niego bułeczkę i położyć ją na środku rozwałkowanego ciasta, a następnie rozciągać palcami w ten sposób, aby pokryło zupełnie całą powierzchnię ciasta i stanowiło z niem wszędzie równą powierzchnię, a gdy to już będzie zrobionem założyć ciasto na cztery rogi, niech tak cokolwiek poleży. Potem znowu rozwałkować na cal grubości i tak sześć razy składać i wałkować, w końcu gorącym nożem wykrawać dowolne kształty, smarować białkiem od jajka nietykając brzegów, układać na blachy wysmarowane wodą zimną, wstawić w piec wypalony jak do chleba. Gdy się ciasto lekko zarumieni, blachy wyjąć z pieca, posypać ciasto cukrem po wierzchu i znowu wstawić w piec na chwilę.

Paszteciki zwane **perduty.** Konchy ostrygowe wyłożyć grubo serdelowym masłem i w każdą z nich wbić świeże jajko, uważając aby się białko nie zmieszało z żółtkiem, posypać tartym serem holenderskim, a przed wydaniem na stół wstawić do gorącego pieca, aby się jajko zapiekło, byle tylko nie stwardniało. Po wyjęciu z pieca wcisnąć do każdej nieco cytrynowego soku i zalać z wierzchu przyrumienionem masłem z miałko utarkowaną bułeczką.

ROZMAITOSCI.

Chciwość niepojęta. W tych dniach przybył do Paryża, jak tamtejsze dzienniki donoszą, były artysta dramatyczny, anglik, nazwiskiem Walter Hastings. Przed dziesięciu laty znajdując się w towarzystwie Lorda S. dowodził mu iż odosobnienie więzienne w ciemnej izbie nie jest tak przykre do zniesienia, jak się to ludziom zdaje. Lord S., zaproponował mu dowieść czynem to zdanie, i zobowiązał się wypłacić mu 100,000 funtów szterlingów jeżeli podda się takiemu więzieniu przez lat 10. Hastings przyjął zakład. Lord S. kazał zbudować w swoim zamku ciemną ciupę, 15 stóp długą, 10 szeroką, i Hastings zamieszkał w niej. Wolno mu było mieć światło, książki, gazety i wszystko do pisania, ale niewolno było wychodzić. Otóż 15 czerwca r. b. owe dziesięć lat upłynęło. Wszystkie warunki zakładu zostały dotrzymane. Dobrowolny więzień liczący dziś 35 lat wieku, wyszedł ze złamanem zdrowiem, pochylony i wyglądający jak starzec. Summa zakład stanowiąca wypłaconą mu została i obecnie przybył do Paryża dla ratowania zniszczonego zdrowia. Powtarzamy, iż wiadomość tę podają dzienniki francuzkie.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. *Sudols.... w Hołow.* Opiekuna jak najregularniej wysyłamy. Raczy nas Pan zawiadomić, których N-rów brakuje.

Pani *Pióro w Witebsku.* Ostatnie dwa N-ra wysłaliśmy już pod adresem Pani.

Pani *Zienkow.... w Kijowie.* N-ra jak najakuratniej wysyłamy. Upraszamy o zawiadomienie, które mianowicie N-ra zaginęły.

P. *Tomaszew.... w Wyszogrodzie.* Z nadesłanych rs. 5 pozostało na bieżący kwartał tylko rs. 1; dla tego też wstrzymaliśmy się z wysłaniem N-rów.

P. *Jordan w Janowcu.* N. 26 powtórnie wysłaliśmy.

P. *Gośl... w Szpole.* Kop. 50 Red. Przeglądu posłaliśmy.

Дозволено Цензурою. Варшава 22 Іюля (3 Августа) 1875 г. — W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.